◇ GUILLAUME APOLLINAIRE ◇ EDWARD CSATO ◇ HOWARD FAST ◆ JERZY GRYGOLUNAS ◇

CZYTELNIK

ODRODZENIE

TYGODNIK

Redakcja: Daszyńskiego 16
Administracja: Daszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok VI | Warszawa, dnia 23 stycznia 1949 r. | Nr 4 (217)

CELINA BOBIŃSKA

„PROSTY JAK PRAWDA"



Lenin w Poroninie w roku 1914

„Nie ma sił, które mogłyby przyćmić pochodnię podniesioną przez Lenina w dusznym mroku obłąkanego świata" (Gorkij, rok 1924).

3 kwietnia 1917 roku, a więc w dniach, gdy wielcy obszarnicy i fabrykanci, wystroiwszy się w jaskrawe czerwone kokardy, utworzyli Rząd Tymczasowy i ogłosili, że rewolucja jest zakończona, z pociągu na Dworcu Finlandzkim wysiadł skromnie ubrany człowiek. Przed dworcem oczekiwały go tłumy robotników, marynarzy i żołnierzy Piotrogrodu. Przyszli powitać emigranta politycznego, za którym szła groźna sława strajków powszechnych i powstania zbrojnego 1905 roku, sława książek, co w ciągu 20 lat oświetlały kolejne etapy i perspektywy rewolucji.

Przyjezdny przemówił z pancernika. Krótko i zwięźle stwierdził, że rewolucja nie jest zakończona, że będzie trwała dalej a następstwem procesu rewolucyjnego będzie rewolucja socjalistyczna.

Lenin powrócił z ostatniej emigracji i ujął ster rewolucji.

Geniusz naukowego przewidywania

„Żeby utrzymać się na stanowisku wodza rewolucji proletariackiej i proletariackiej partii, trzeba łączyć potęgę teorii z praktycznym i organizacyjnym doświadczeniem ruchu proletariackiego". (Stalin o Leninie, rok 1920).

Rewolucja sowiecka, jak żadna inna sięgnęła do najgłębszych mas, co „spały snem głębokim", i obudziła żywioł społeczny. A jednocześnie, dzięki Leninowi, rewolucja rosyjska posiadała cechy, których nie znajdziemy w żadnym przewrocie. Mianowicie była w każdym etapie przewidziana, uzasadniona i przygotowana teoretycznie.

Lenin był nie tylko organizatorem rewolucji, jej trybunem. Był także wnikliwym badaczem możliwości i szans rewolucji, jej dalszych konsekwencji i rezultatów — socjalistycznych przeobrażeń; badaczem jej wpływów i jej oddziaływania na stosunki w świecie. Tak było od początku działalności Lenina.

Oto w głuchych pomrukach nadchodzącego stulecia dojrzewał przewrót w najbardziej zacofanym wówczas, wielkim kraju Europy.

Podziemne zjawiska nie uchodziły uwagi młodego marksisty rosyjskiego. Żył jeszcze Engels, gdy dwudziestokilkuletni Lenin w dziele „Kim są „przyjaciele ludu"..." wspaniale wzbogacił i rozwirał tezę Marksa z lat siedemdziesiątych, że Rosji wkrótce przypadnie w udziale rola Francji w Europie, rola siewcy rewolucji. Lenin nie tylko rozwinął tezę o przesuwaniu się ośrodka rewolucji na wschód, lecz wykazał swoiste cechy rozwoju Rosji pozycję, jaką rozmaite klasy społeczne zajmą w nadchodzącej rewolucji oraz historyczna rolę rosyjskiej rewolucji w świecie. Już wówczas w sposób proroczy nakreślił dwa zasadnicze etapy i ostateczny rezultat rewolucji, mającej nastąpić po 23 latach. Przepowiedział, że rosyjska rewolucja burżuazyjna przekształci się w przewrót socjalistyczny.

Lenin budował nowy typ organizacji politycznej, nie spuszczając jednocześnie oka z procesów zachodzących w europejskim ruchu robotniczym i żywo na nie reagując. Przepowiadał charakter i przebieg nadciągającej rewolucji demokratycznej w Rosji, a jednocześnie gromadził, notował nowe fakty życia gospodarczego w świecie.

Z wolnej konkurencji wyrosło gangsterstwo wielkich monopoli, zjawiły się nowe metody zdobywania rynków, nowy rodzaj eksportu — eksport kapitałów zamiast eksportu lusterek, perkalików i maszyn, nowy typ wojen, oraz wiele innych faktów i objawów. Wszystkie te zjawiska ujął Lenin w całość rozwojową. Dziwne „anomalie" gospodarcze okazały się przejawem nowych specyficznych praw rozwojowych okresu imperializmu.

W trakcie wojny światowej Rosja ponosząca koszty wojny za swych zachodnich wierzycieli, pogrążała się w stan rozkładu i głębokiego fermentu. Z dalekiej emigracji Lenin widzi, jak z tego rozkładu i fermentu rosną pierwiastki nowej, drugiej burżuazyjno-demokratycznej rewolucji, widzi jedyne w swoim rodzaju możliwości przerastania jej w rewolucję trzecią — socjalistyczną. A co będzie, jeśli rewolucja socjalistyczna zwycięży na razie tylko w swoim ognisku, w Rosji? Na podstawie odkrytych przez siebie nowych cech imperializmu wysnuwa Lenin niezmiernie ważny wniosek naukowy: w warunkach imperializmu możliwe jest zwycięstwo rewolucji socjalistycznej i budownictwo socjalizmu w **jednym kraju**. W ten sposób rewolucja — będąc dopiero potencjalną możliwością historyczną, będąc dopiero „w powijakach" — uzyskiwała wyraźną perspektywę historyczną.

W okresie, kiedy rewolucja rosła jak nawałnica, gdy tygodnie 1917 r. „równały się dziesięcioleciom", Lenin w głębokim podziemiu, po chwilowym zwycięstwie kontrrewolucji, pisze książkę „Państwo a rewolucja". W imieniu nieobecnego Lenina, Stalin, na szóstym zjeździe partii, w podmiejskim zakonspirowanym baraku, skierowywał partię na tory przygotowania powstania zbrojnego, przygotowania walki o władzę. A Lenin budował już swoim piórem gmach NOWEGO PAŃSTWA, które miało się z tego powstania narodzić. Już wówczas wykazał odmienny od państw burżuazyjnych charakter tego jeszcze nienarodzonego państwa; zebrał wnikliwie wszystko, co w budownictwie tego państwa mogło się przydać z doświadczeń proletariatu europejskiego i z doświadczeń mas w roku 1905. Wskazał na Rady (Sowiety), jako na zalążek tego najdoskonalszego aparatu, jaki potrzebny będzie państwu, w którym rządzić ma chłop i robotnik. Przez kilkadziesiąt lat dyktatura proletariatu była tezą teoretyczną. Latem, roku 1917, pod piórem Lenina nabrała rumieńców faktu historycznego.

„Wróg chaosu"

Powstanie jeszcze trwa. W Moskwie toczą się walki uliczne. Kontrrewolucja próbuje rzucić na rewolucyjny Piotrogród wierne sobie oddziały wojskowe. Pałac Smolny szczerzy lufy armat. Lenin zatrzymuje w korytarzu, pomiędzy stojakami karabinów, Łunaczarskiego, który od paru dni jest komisarzem (ministrem) oświaty. Lenin formułuje mu w pośpiechu swój pogląd na zadania Komisariatu Oświaty: uniwersytety trzeba udostępnić młodzieży robotniczej, rewolucji grozi niebezpieczeństwo głodu... książki.

„...potrzebne będą wielkie sale — czytelnie.. Książkę trzeba uczynić ruchomą. Trzeba w tym celu wykorzystać pocztę. Trzeba stworzyć ruchome biblioteki. Wśród naszego wielomilionowego ludu wzrośnie liczba umiejących czytać i nie starczy nam książek, jeśli nie zwielokrotnimy ich obrotu..." (Ze wspomnień Łunaczarskiego).

Potem przyszły lata wojny domowej. Była interwencja, były armie Kołczaka, Judenicza, Denikina, kierujące uderzenie w serce rewolucji. Był głód i epidemie. Była blokada. Stalin w Carycynie (dziś Stalingrad) bronił jedynej drogi rewolucji do chleba. Lenin depeszował mu, że życie Moskwy w najbliższych dniach zależy od jednego transportu zboża. W halach zrujnowanych fabryk, w których życie dopiero zaczynało tlić wiatr pędził stare śmieci. Wówczas to w „Sobotniku" — w czynie bezpłatnej ochotniczej pracy komunistów kolejarzy — ujrzał Lenin narodziny nowego, socjalistycznego stosunku do pracy, źródło nowej wydajności pracy. Mówił Lenin o socjalistycznej wydajności wówczas, gdy klasa robotnicza wyczerpana, wykolejona pięcioleciem wojen, w dużym stopniu straciła swoją starą wydajność i sprawność, a wyrabianie na fabrykach zapalniczek dla wymiany na mąkę i śledzie, stało się przysłowiowym przykładem rozprzężenia.

Tym większy był nacisk, z jakim Lenin w dniach śmiertelnej walki o utrzymanie Samary, Carycyna czy Tuły, w czasie zmagania się o najbliższy miesiąc istnienia rewolucji — pisał i mówił, że **rzeczywiste i trwałe** zwycięstwo przyjdzie wówczas, gdy rewolucyjna Rosja prześcignie kapitalistyczną wydajność pracy.

Były to czasy, gdy ludzie gotowi byli zginąć na posterunku, lecz powszedniość księgi buchalteryjnej, statystyka i punktualne przychodzenie do pracy,— wydawały się prozaicznym obciążeniem rewolucji i rewolucjonistów. Ale właśnie dlatego, zaraz po zażegnaniu niebezpieczeństwa dalszej ofensywy niemieckiej i w obliczu wszystkich nadchodzących trosk, Lenin, od marca-kwietnia 1918 roku, stale mówi i pisze o planie gospodarczym, o „najsurowszej kontroli i ewidencji produkcji i podziału produktów". Wytrwale stara się uzbroić ludzi w umiejętność odnajdywania dalszej perspektywy historycznej, stara się wdrożyć ich w trudną pracę, z której ma wyrosnąć socjalizm.

W przedostatnim roku wojny domowej, gdy nie było nafty i węgla, w zimnej nieopalonej sali Wielkiego Teatru w Moskwie ludzie w kożuchach słuchali referatów wybitnych inżynierów o leninowskim planie elektryfikacji Rosji. Wątpiących nie było. Lenin nauczył już ludzi widzieć i liczyć wiązania przyszłego gmachu, siedząc w rozwalonym baraku; nauczył ich robić przy łojówce wykresy przyszłych, potężnych elektrowni wodnych. Dzisiejsze ŹLE nie było zaprzeczeniem jutrzejszego DOBRZE, przeciwnie, stawało się bodźcem.

W przedostatnim też roku wojny domowej przyszedł Lenin na zjazd młodzieży komunistycznej. Młodzież witając najbardziej bezkompromisowego wroga starego ustroju, starych stosunków, starych przesądów, zaprawiona w romantyce rewolucji i koczująca z frontu na front, oczekiwała jeszcze jednego wezwania do walki ze starym światem. Lecz Lenin przemówił do niej, jak doświadczony, stary nauczyciel. Powiedział jej, że stary ustrój „stanowi kupę gruzów, gdyż należało obrócić go w kupę gruzów", a teraz „zadanie polega na tym, aby się uczyć". Stara szkoła była zła, ale „powinniśmy wziąć to dobre, co było w starej szkole", co „jest niezbędne dla komunizmu", gdyż „komunizm wynikł z całej sumy wiedzy". I Lenin kierował młodych zapaleńców do szkół, gdyż po to, by budować komunizm, „mało jest zwykłej umiejętności czytania i pisania".

Nieoczekiwany był ten nowy Lenin, z którego mowy wynikało, że nie wystarczy już umierać za rewolucję, że nastał czas, kiedy trzeba dla rewolucji podjąć rzecz nową: wziąć się do ułamków i logarytmów.

„Wróg chaosu" — powiedział o Leninie Gorkij. Poprzez „chmury nienawiści", poprzez powszedni dzień frontów Lenin przenikliwie patrzył w przyszłość. Rewolucja, z jej ogromnym patosem, nie była celem, była nieuniknionym środkiem, konieczną drogą, którą trzeba przebyć, aby budować jasne szkoły i uniwersytety dla chłopskich dzieci, aby przeprowadzić elektryczność do wiejskiej chaty, aby dać awans społeczny młodemu robotnikowi.

Syn inspektora szkolnego znad Wołgi, był Lenin intelektualistą wielbiącym Puszkina, Beethovena i Tołstoja, był wielkim miłośnikiem klasycznych i nieśmiertelnych osiągnięć ducha ludzkiego. Dbał o ochronę i zachowanie starych skarbów kultury, aby nic z nich nie uronić dla nowych komunistycznych pokoleń. Lenin był wrogiem niedowarzonego, niedojrzałego nowatorstwa w kulturze: „czy mamy odwracać się od prawdziwego piękna tylko dlatego, że jest to piękno STARE, i uwielbiać nowe tylko dlatego, że jest NOWE. Niedorzeczność!"

Po burzliwych i gorączkowych konferencjach, w ciężkim roku dziewiętnastym, umiał Lenin przyjść do domu i pod tytułem „Rozmyślania w wolnych chwilach, a więc podczas słuchania mów na zebraniach" — napisać:

„Psujemy język rosyjski! Słów cudzoziemskich używamy bez potrzeby. Po co mówić „defekty", gdy można powiedzieć „braki" lub „niedostatki" lub „luki"?... Czy nie czas wypowiedzieć wojnę kaleczeniu języka rosyjskiego?"

„Geniusz rewolucyjnych przewrotów", jak go nazywa Stalin, burzył z głęboko zrozumianego i naukowo uzasadnionego musu historycznego, lecz w każdym bezkompromisowym, rewolucyjnym posunięciu miał na względzie twórcze zadania przyszłości. Z natury był budowniczym, inicjatorem proletariackiego oświecenia, nauczycielem ludu, twórcą naukowych wartości.

Wielkość Lenina była wielostronna. Ujawniała się i w tym, że układając się do snu na posłaniu z gazet w dniach listopadowego powstania zbrojnego, w swym gabinecie - sztabie, w pałacu Smolnym— troszczył się o przyszły głód książki i brak bibliotek.

„Nowy wódz nowych mas"

„Dopiero później zrozumiałem, że ta prostota i skromność Lenina, to dążenie, aby pozostać w cieniu, albo, w każdym razie, nie rzucać się w oczy i nie podkreślać swego wysokiego stanowiska — jako nowego wodza nowych mas, mas prostych i zwyczajnych, najgłębszych „nizin" ludzkości" (Stalin, rok 1924).

Jeszcze w czasach, gdy Lenin odcięty w Zurychu od rosyjskiej rewolucji, miotał się i nie spał po nocach rojąc fantastyczne plany, aby przedostać się do kraju z paszportem „niemego Szweda" — pisał swe „listy z daleka" i prywatne listy do przyjaciół. Jedne i drugie zawierały jasny, przejrzysty i dokładny plan strategiczny rozwoju rewolucji. Mózg Lenina działał intensywnie, jak zawsze przezwyciężając izolację i granice: „Nowy rząd nie może dać ludowi chleba". Dać ludowi pokój, chleb i całkowitą wolność może tylko rząd robotniczy, opierający się: po pierwsze, na ogromnej większości ludności chłopskiej, na robotnikach rolnych i biednych chłopach; po drugie na sojuszu z rewolucyjnymi robotnikami wszystkich krajów prowadzących wojnę".

W listach tych pisanych po długim okresie odcięcia od kraju, Lenin doskonale wyczuwał co myślą, co czują, jak błądzą, jak zanadto dobrodusznie ufają chwilowym przywódcom rosyjskie masy rewolucyjne. Ciągle kładzie on nacisk na konieczność „wyjaśniania szerokim masom", „informowania szerokich mas i organizowania ich". Trzeba „zorganizować i uzbroić WSZYSTKIE najbiedniejsze wyzyskiwane warstwy ludności, aby one SAME ujęły bezpośrednio w swe ręce organy władzy państwowej, aby SAME STWORZYŁY instytucje tej władzy".

Czynne dążenie mas do sprawiedliwości, ich często niesprecyzowana, lecz postępowa i twórcza inicjatywa, ich energia rewolucyjna — to był dla Lenina najistotniejszy, decydujący czynnik rewolucyjnego procesu. Lecz jego stosunek do masy był zaprzeczeniem anarchistycznego schlebiania żywiołowi. Historia była szeregiem smutnych doświadczeń i rozczarowań mas, które niedojrzałe, niezorganizowane, nieprzygotowane i źle pokierowane wstępowały w rozpaczliwą walkę, aby potem ciężko przez całe pokolenia płacić za porażki. Zaszczepianie świadomości jasnego rewolucyjnego programu tam, gdzie był gniew, nienawiść i postępowe dążenia do zmiany na lepsze — to było zadanie rewolucyjnej partii i rewolucyjnych wodzów. Lenin w niczym nie przypominał drobnomieszczańskich przywódców, którzy dumni są, gdy masy idą za nimi na wiarę, na ślepo, którzy chcą przewodzić powolnemu tłumowi i dbają o zachowanie dystansu między sobą a tłumem. Tam gdzie ci przywódcy uważali, że dalszy rozwój świadomości mas jest niebezpieczny i niepokojący — Lenin wyjaśniał i uczył politycznej oraz organizacyjnej samodzielności. U podstaw tego szkolenia milionów była leninowska teza, że rewolucja będzie się rozwijać w miarę rozwoju świadomości mas.

Po zwycięskim powstaniu październikowym rewolucja była niedoświadczona i wielokroć słabsza i biedniejsza od swych pokonanych wrogów. Główną jej szansą i jedynym kapitałem była obudzona aktywność, samodzielność i twórczość mas. W tej samodzielności mas widział Lenin pierwszy objaw socjalizmu. Gdy eserzy nazywali go „gorączkującym marzycielem" dlatego, że nazajutrz po rewolucji mówił o budownictwie socjalizmu w wyniszczonym i skołatanym kraju, Lenin odpowiadał im:

„Nie, towarzysze, w Rosji rozpoczęła się socjalistyczna, proletariacka rewolucja; masy ludowe same chcą rządzić swym losem. Robotnicy i chłopi pokryli Rosję swymi sowietami, oni rządzą swoim losem i to nie jest fantazja, nie jest utopia „gorączkującego marzyciela".

Dla Lenina rewolucyjna masa nie była tylko bezosobową „napędową siłą rewolucji". Masa składała się z prostych ludzi o niełatwym życiu. W masie widział on **poszczególnego** człowieka. Stąd żywy udział Lenina w sprawach poszczególnych ludzi i stałe jego zainteresowanie dla ich myśli i przeżyć.

Aleksandra Kołłątaj w swych wspomnieniach o Leninie opowiada o chłopie, który przyszedł do niej jako pierwszy klient rewolucyjnego ministerstwa opieki społecznej z kartką od Lenina: „Wydajcie mu przynależne za konia z funduszów komisariatu". Było 80 milionów skrzywdzonych przez carat chłopów, ale jeden chłop mógł odnaleźć i obudzić wczesnym rankiem Lenina oraz uzyskać od „głównego bolszewika" list, aby mu zwrócono za konia zabranego przez carat. I chodził odtąd ten petent Lenina z listem za „towarzyszką komisarzem - ministrem", która nie miała ministerstwa, nie miała jeszcze kasy i nie miała pieniędzy, ale musiała załat-

(Dalszy ciąg na stronie drugiej)

JÓZEF STALIN

O LENINIE

SKROMNOŚĆ

Po raz pierwszy spotkałem się z Leninem w grudniu 1905 roku na konferencji bolszewików w Tammerforsie (w Finlandii). Spodziewałem się, że ujrzę górskiego orła naszej partii, wielkiego człowieka, wielkiego nie tylko pod względem politycznym, ale — jeśli można tak powiedzieć — także fizycznym. Wyobrażałem bowiem sobie Lenina jako olbrzyma, postawnego i reprezentatywnego. Jakież było moje rozczarowanie, kiedy ujrzałem najzwyklejszego człowieka, wzrostu mniej niż średniego, niczym, dosłownie niczym nie różniącego się od zwykłych śmiertelników...

Jest rzeczą przyjętą, że „wielki człowiek" powinien zazwyczaj spóźniać się na zebrania tak, aby uczestnicy zebrania z zapartym tchem czekali jego zjawienia się, przy czym przed zjawieniem się wielkiego człowieka uczestnicy zebrania uprzedzają: „Tsss... Ciszej... Idzie". Ten porządek nie wydawał mi się zbyteczny, jako że imponuje, narzuca szacunek. Jakież było moje rozczarowanie, kiedy dowiedziałem się, że Lenin przyszedł na zebranie wcześniej od delegatów i że wcisnąwszy się gdzieś w kąt prowadzi po prostu gawędę, najzwyklejszą gawędę z najzwyklejszymi delegatami na konferencję. Nie taję, że wydało mi się to wtedy niejakim naruszeniem pewnych koniecznych reguł.

Dopiero później zrozumiałem, że ta prostota i skromność Lenina, to dążenie, aby pozostać w cieniu, albo w każdym razie nie rzucać się w oczy i nie podkreślać swego wysokiego stanowiska — jako nowego wodza nowych mas, mas prostych i zwyczajnych, najgłębszych „nizin" ludzkości.

WIARA W MASY

Teoretycy i wodzowie partii, którzy znają historię narodów i od początku do końca przestudiowali dzieje rewolucji chorują niekiedy na pewną nieprzyzwoitą chorobę. Choroba ta nazywa się lękiem przed masami, niewiarą w twórcze zdolności mas. Na tym gruncie wyrasta niekiedy pewien arystokratyzm wodzów w stosunku do mas, niedoświadczonych w historii rewolucyj, ale powołanych do zburzenia tego co stare i budowy tego co nowe. Obawa, że żywioł może się rozpętać, że masy mogą „zbyt wiele zburzyć", chęć odegrania roli niańki, usiłującej uczyć masy z książek, ale nie pragnącej uczyć się od mas — taka jest podstawa tego rodzaju arystokratyzmu.

Lenin był całkowitym przeciwieństwem takich wodzów. Nie znam drugiego rewolucjonisty, któryby tak głęboko jak Lenin wierzył w twórcze siły proletarjatu i w rewolucyjną celowość jego instynktu klasowego. Nie znam drugiego rewolucjonisty, któryby jak Lenin umiał tak bezlitośnie biczować zadowolonych z siebie krytyków „chaosu rewolucji" i „bakchanalii samorzutnych działań mas". Pamiętam jak podczas pewnej rozmowy w odpowiedzi na uwagę jednego z towarzyszy, że „po rewolucji powinien nastać normalny porządek". Lenin zaznaczył z sarkazmem: „Źle, jeśli ludzie, którzy pragną być rewolucjonistami, zapominają, że najbardziej normalnym porządkiem w historii jest porządek rewolucji".

Stąd wzgardliwy stosunek Lenina do tych wszystkich, którzy usiłowali patrzeć na masy z góry i uczyć je według książek. Stąd ustawiczne wskazania Lenina: uczyć się od mas, zrozumieć ich działanie, skrupulatnie studiować praktyczne doświadczenie walki mas.

Wiara w twórcze siły mas — to ta właśnie cecha działalności Lenina, która umożliwiała mu zrozumieć żywioł i kierować jego ruch w koryto rewolucji proletariackiej.

LOUIS ARAGON

RÓŻE NA GWIAZDKĘ

Kiedyśmy byli jak wino rozlane
Jak okwitnięty po wichurze krzew
Jak topielice jak pole zorane
Jak pokruszony gospodarski chleb

Jak stratowana gdyśmy byli trawa
Okno wyrwane wymłócony zbiór
Jak ta w zaprzęgu padająca szkapa
Jak szloch wśród tłumu jak zamilkły chór

Kiedyśmy byli we Francji obcymi
Po drogach własnych żebrali co krok
I wyciągali ku widmom nadziei
Wstydliwą nagość udręczonych rąk

Wtedy ci którzy spod ziemi wyrośli
Choćby na mgnienie choćby padli wstecz
To były nasze wśród śniegu pierwiosnki
Błyskiem przeszywał ich wzrok niby miecz

Gwiazdko o Gwiazdko Twe nieśmiałe świty
Zwarzyły w sercach ludzkich wiary kwiat
Miłość co warta jest śmierci i życia
Z rankiem wczorajszym łączy Jutra brzask

Wy czy porwiecie się na czyn choć Grudzień
O wiosny śliczne tak bezpieczne już
Gdy wschodzi Gwiazdka nad pasterzy ludem
Zapamiętajcie woń majową róż

Gdy zalśni słońce zapomnicież gwiazdy
W niepamięć pójdzież gdy się kończy noc
I nowym wichrem Wasze wzbiorą żagle
Ledwo zapłonie Ifigenii stos

Czy płacze szkarłat na rzęsach stokrotek
Czyli się na nich krwawy perli pot
Zapamiętajcie zawieszony topór
Niechaj świadomy nań spogląda wzrok

Zmilknąć nie może krew która raz spłynie
Choć spichrze pełne nie niechajcie walk
Niech zawsze ciemny smak zostawią w winie
Na ziemi naszej winogrona warg

(Przełożył ALLAN KOSKO)

Wiersz powyższy wyjęty z tomu „La Diane Française" (Pobudka Francuska) napisał Aragon w okresie walk podziemnych w szeregach francuskiego Ruchu Oporu.

„PROSTY JAK PRAWDA"

(Dokończenie ze strony pierwszej)

wić upartego leninowskiego interesanta.

Oto w korytarzu pałacu Smolnego zatrzymuje Lenina bezręki robotnik. Nie prosi o zapomogę czy emeryturę Ale ma pomysł. chce zdobyć maszyny dziewiarskie i urządzić spółdzielnię pracy dla bezrękich inwalidów. Jest to drugi czy trzeci dzień od narodzin nowej władzy. Ale Lenin znajduje czas, aby troskliwie skierować robotnika do Kołłątaj i po paru dniach sprawdza: „Czy był u was bezręki robotnik w sprawie spółdzielni? Trzeba chłopca poprzeć z tą spółdzielnią. Dobrze to wymyślił".

Siedzi u Lenina chłopski aktywista. Lenin telefonuje do pracownika zdrowia: „Siedzi u mnie tutaj towarzysz Iwan Czekanow. bardzo interesujący, pracujący chłop, po swojemu propaguje podstawy komunizmu. Otóż zgubił on okulary... Czy nie można mu załatwić dobrych okularów? Bardzo was proszę pomóżcie i przez sekretarza zawiadomcie mnie o wyniku".

To nie była „filantropia dla biednych". Tak samo dbał Lenin o odpoczynek dla swych współpracowników, o przydział żywności w głodnych latach dla wybitnego uczonego, o zajęcie się dziećmi przypadkowej pielęgniarki To była zdolność WIDZENIA poszczególnego człowieka i stałego pamiętania o tym, jak wielkimi ofiarami opłaca gwałtowny przewrót społeczny.

Podkreślając, że rewolucja walczy o rzeczy namacalne, zapytywał Lenin, gdy zabijał czcze frazesy mieńsewików: „—czy nie o to, aby każda rodzina miała chleb? aby każde dziecko miało butelkę dobrego mleka i aby ani jeden dorosły z bogatej rodziny nie śmiał wziąć zbytecznego mleka, póki nie są zabezpieczone dzieci?" Broniąc realnych. materialnych interesów mas, czyniąc wysiłki ponad siły i możliwości dla zdobycia owej „butelki mleka" dla dzieci — miał Lenin jednocześnie głęboką wiarę w ideowość mas. Nigdy nie wątpił, że robotnicy i chłopi. skoro ogarną ogólne perspektywy rewolucji. wyrzekną się wielu rzeczy potrzebnych, zgodzą się na trudności i ograniczenia — aby utrzymać polityczne dobrodziejstwa rewolucji Wierzył, że w imię rewolucyjnych ideałów i w imię solidarności klasowej, robotnicy i chłopi gotowi są walczyć tak samo jak o ziemię i o chleb powszedni dla siebie. Toteż wielokrotnie mówił Lenin w halach fabrycznych i na wiecach chłopskich o międzynarodowej solidarności, o międzynarodowej roli rosyjskiej rewolucji, o obowiązku tej rewolucji niesienia pomocy i poparcia uciskanym klasom i narodom całego świata.

Gdy Klara Zetkin, stara rewolucjonistka niemiecka, wspominała Leninowi o sile jego wymowy, odpowiedział: „Wiem tylko. że gdy mówiłem, przez cały czas myślałem o robotnikach i chłopach jako o swych słuchaczach. Chciałem, aby mnie zrozumieli. Gdziekolwiek by komunista mówił. powinien myśleć o masach, powinien mówić dla nich".

Ten stosunek do mas i kontakt z masami był źródłem jasnego i prostego stylu leninowskiego, stylu **nauczyciela ludu**. Język Lenina jest wolny od wszelkiego baroku, od patosu słów. Styl Lenina stał się stylem rewolucji. Przez surową i lakoniczną prawdę leninowskich i stalinowskich odezw. mów i haseł, styl ten nadawał klasyczną formę rewolucyjnym czynom

Kiedyś robotnik, metalowiec powiedział Gorkiemu, że główną cechą Lenina jest prostota „Jest prosty jak prawda". Prosty jak prawda był też język Lenina. Styl Lenina coraz bardziej określa styl naszej epoki. Z niego i z rewolucji wyrósł styl stalinowski, który jest swoisty, ale posiada leninowską prostotę. Stalin tak, jak jego nauczyciel zawsze mówi do mas i dla mas.

Ćwierć wieku temu umarł Lenin, ale jego potężna indywidualność, głoszone przez niego rewolucyjne normy społeczne i moralne, coraz bardziej zabarwiają naszą epokę. Mówimy „kultura dla mas" — i wymagania, jakie stawiał kulturze Lenin, coraz bardziej stają się wymaganiami epoki. Surowe wymagania Lenina wobec polityka i działacza stają się coraz bardziej wymaganiami opinii społecznej. Leninowski styl myślenia, jasny, dialektyczny, wrogi wszelkiemu dogmatyzmowi i martwocie, staje się stylem myślenia klasy robotniczej i rewolucyjnej inteligencji całego świata. Leninowski pogląd na procesy społeczne i na klasy. leninowskie kategorie i pojęcie naukowe — należą dziś wszędzie do inwentarza postępowej i rewolucyjnej nauki.

Gdy patrzymy wstecz — spoza każdego etapu historycznego ubiegłego pięćdziesięciolecia spoglądają ku nam współczesnym przenikliwe, przymrużone oczy Lenina. Wzrok jego sięgał daleko naprzód w jutrzejszy dzień społeczeństwa, stawiając jakby słupy drogowe naszego wieku. Gdy patrzymy naprzód — jasna przewidująca myśl Lenina pomaga nam, ludziom dwudziestego wieku, odnaleźć dalszą drogę.

Celina Bobińska

MAKSYM GORKI

LENIN

(wspomnienie osobiste)

Nie moja rzecz — mówić o Włodzimierzu Leninie jako polityku, bliski mi i drogi jest Lenin — człowiek.

Co zachwycało mnie w nim — to namiętna wola życia i aktywna nienawiść do istniejących w nim podłości. Pociągała mnie w Leninie owa młodzieńcza zapalczywość, którą wkładał we wszystko, cokolwiek czynił. W zdumienie wprawiała mnie jego nadludzka pracowitość.

Zapalczywość była cechą jego natury, lecz nie była to owa obliczona na zysk zapalczywość gracza, ale wyjątkowa siła ducha — właściwa człowiekowi, który niezachwianie wierzy w swoją misję, który głęboko czuje swój związek ze światem i bez reszty rozumie swą rolę w jego chaosie: rolę wroga chaosu.

Z tym samym zapałem Lenin grał w szachy, oglądał „Historię ubiorów", prowadził wielogodzinne dyskusje z towarzyszem, łowił ryby, chodził po kamienistych ścieżkach Capri, rozżarzonych skwarnym słońcem południa, zachwycał się złotymi kwiatami i umorusanymi dziećmi rybaków. A wieczorami, słuchając opowiadań o Rosji, o wsi, wzdychał z zawiścią:

— A ja mało znam Rosję! Symbirsk, Kazań, Petersburg, zesłanie — i to prawie wszystko!

Lubił weselić się: śmiał się wówczas całym ciałem, rzeczywiście „zanosząc się" od śmiechu, czasem — do łez. Krótkiemu, charakterystycznemu okrzykowi „hm-hm" umiał nadawać nieskończoną ilość odcieni — od jadowitej ironii do wyrazu ostrożnej wątpliwości. Często w tym „Hm-hm" rozbrzmiewał cięty humor właściwy tylko człowiekowi bardzo bystremu, który dobrze zna szatańskie absurdy życia.

Przysadkowaty, barczysty, o czaszce Sokratesa i o wszystkowidzących oczach, wielkiego filuta, często przybierał dziwną i nieco komiczną pozę — głowę odrzucał w tył, schyliwszy ją na bok, wkładał palce pod pachy, za kamizelkę. W pozie tej było coś zadziwiająco miłego i śmiesznego zarazem, coś triumfalnie koguciego; cały w takich chwilach błyszczał z radości. Wielkie dziecko tego przeklętego świata, wspaniały człowiek, który musiał złożyć siebie samego w ofierze złu i nienawiści, aby dokonać dzieła miłości i piękna.

Ruchy jego były lekkie i zgrabne, skąpy, ale mocny gest w pełni harmonizował z mową, też skąpą w wyrazy, ale bogatą w myśli. Na jego mongolskiej twarzy lśniły ostre oczy niezmordowanego łowcy kłamstw i podłości tego świata, lśniły na przemian mrużąc się, migając, uśmiechając się ironicznie i błyskając gniewem. Blask tych oczu sprawiał, że jego słowa były jeszcze bardziej palące i przeraźliwie jasne. Czasem wydawało się, że nieposkromiona energia ducha tryska z jego oczu iskrami i że i że nasycone nią słowa, błyszczą w powietrzu. Mowa jego zawsze wywoływała fizyczne uczucie nieprzemożonej prawdy i jakkolwiek często prawda ta była dla mnie nie do przyjęcia, jednak nie mogłem nie czuć jej siły.

KLARA ZETKIN

„WSPOMNIENIE O LENINIE"

Lenin w rozmowie z Klarą Zetkin:

— Wiem! Jest wielu szczerze przekonanych, że „pane et circensibus" (chlebem i widowiskami) można przezwyciężyć trudności i niebezpieczeństwa chwili obecnej. Chlebem — oczywiście! Co zaś tyczy się widowisk — niech i tak będzie — nie sprzeciwiam się! Ale niechże przy tym nie zapominają, że widowiska — to nie prawdziwa wielka sztuka, a raczej mniej lub bardziej ładna rozrywka. Nie należy przy tym zapominać, że nasi robotnicy i chłopi nie przypominają zgoła rzymskiego lumpenproletariatu. Nie żyją na koszt państwa, lecz odwrotnie, sami swą pracą ją utrzymują. Oni to zrobili rewolucję i bronili jej, przelewając potoki krwi i składając niezliczone ofiary. Naprawdę, nasi robotnicy i chłopi zasługują na coś więcej niż na widowiska. Mają prawo do prawdziwej, wielkiej sztuki. Dlatego w pierwszym planie stawiamy najszerzej pojętą oświatę ludową i wychowanie. One to stworzą podstawę dla kultury — oczywiście pod warunkiem, że zagadnienie chleba będzie rozwiązane. Na tej podstawie powinna wyróść prawdziwa nowa, wielka sztuka komunistyczna, która stworzy formę odpowiednio do swojej treści. Na drodze tej „inteligenci" nasi mają do rozwiązania szlachetne, ogromnie doniosłe zadania. Gdyby zrozumieli i rozwiązali te zadania, spłaciliby swój dług wobec proletariackiej rewolucji, która także przed nimi szeroko otworzyła drzwi, prowadzące ich na wolną przestrzeń z tych nizin, które z takim mistrzostwem charakteryzuje „Manifest komunistyczny".

WANDA BACEWICZÓWNA

BOLESŁAW WOYTOWICZ Laureat Państwowej Nagrody Muzycznej

GDYBYŚMY chcieli określić pozycję Bolesława Woytowicza w naszym życiu muzycznym, ogarnąwszy jego działalność jednym rzutem myśli, powiedzielibyśmy: muzyk-społecznik. W poczynaniach tego artysty na plan pierwszy wysuwa się bowiem chęć związania się ze społeczeństwem — wewnętrzna potrzeba zespolenia się z jego ogólnym nurtem.

Woytowicz urodził się w r. 1899 w Dunajówce na Podolu. W r. 1917 kończył ze złotym medalem gimnazjum w Kamieńcu Podolskim. Wyższe studia rozpoczyna w Kijowe, studiując na tamtejszym uniwersytecie filologię i matematykę. Następnie przenosi się na Uniwersytet Warszawski, gdzie studiuje matematykę i prawo. Równoczenie odbywa studia muzyczne — początkowo u A. Wielhorskiego, a następnie w Wyższej Szkole Muzycznej im. Chopina, gdzie w r. 1924 otrzymuje dyplom pianistyczny w klasie prof. A. Michałowskiego. Profesorami jego w zakresie przedmiotów teoretycznych są: Szopski, Maliszewski i Statkowski. W latach od 1924 do 1929 pozostaje w Szkole Chopina, jako wykładowca gry fortepianowej, później zaś wyjeżdża do Paryża, prowadząc tam do r. 1932 studia kompozytorskie u sławnej Nadii Boulanger i w Ecole Normale, gdzie pogłębia swą wiedzę pianistyczną. W tymże roku otrzymuje II nagrodę Filharmonii Warszawskiej za Koncert fortepianowy. W okresie od 1932 do 1939 r. jest znowu profesorem Wyższej Szkoły Muz. im. Chopina i prowadzi działalność kompozytorską, oraz koncertową. występując poza Polską w Rosji, Austrii, Niemczech, Włoszech, Szwajcarii i Francji. W r. 1935 otrzymuje I nagrodę za wzorową partyturę we Frankfurcie nad Menem, a w r. 1937 —państwową nagrodę muzyczną za całokształt działalności i Złoty Medal za balet „Concertino" na międzynarodowej wystawie „L'art et Technique" w Paryżu. Podczas okupacji (1939 — 1944), przerywając całkowicie działalność kompozytorską, prowadzi głośną „Kawiarnię Woytowicza" na Nowym Świecie, będącą miejscem spotkań warszawskiego świata artystycznego spragnionego dobrej muzyki. Kawiarnia ta nie jest bowiem niczym innym, jak ukrytą salą koncertową, w której dzięki szlachetnej inicjatywie i śmiałości Woytowicza występują obok niego najlepsi muzycy warszawscy, dając niejako światu dowód swojej niezawisłości duchowej. Po wojnie Woytowicz mianowany zostaje w r. 1945 prorektorem Muzycznej Akademii Krakowskiej, później jednak na własny wniosek przenosi się do Katowic, gdzie w tamtejszej Wyższej Szkole Muzycznej obejmuje klasę fortepianu, oraz przedmiotów teoretycznych Jednocześnie od czasu do czasu jeździ z koncertami po całym kraju zawsze szczególnie gorąco witany w Warszawie. Do dziś też pamiętamy jego zeszłoroczny świetny recital lisztowski w Romie. Jako członek Związku Kompozytorów, Polskiego Towarzystwa Muzyki Współczesnej, oraz Związku Muzyków—Woytowicz bierze żywy udział w organizowaniu naszego życia muzycznego. Według słów min. Sokorskiego. wypowiedzianych podczas uroczystości wręczenia nagród, Woytowicz jest na Śląsku „duszą polityki upowszechniającej przez związki zawodowe kulturę artystyczną". Z jego też bezpośrednich kontaktów z klasą robotniczą powstaje „Kantata na pochwałę pracy", nad którą kompozytor obecnie pracuje i która wejdzie zapewne do wielkiego repertuaru zespołów artystycznych związków zawodowych. (Tekst do Kantaty napisał Tadeusz Żakiej). „Bolesław Woytowicz wyszedł z ludu i pozostał ludowi wierny — powiedzia min. Sokorski. — On pierwszy rozpoczął walkę o muzykę wielkich form, lecz jednocześnie prostą i tematycznie związaną z życiem człowieka pracy." W tym założeniu pisze swą II Symfonię Warszawską—(graną w październiku ub.r. na otwarciu sezonu Filharmonii Warszewskiej). Zdaniem min. Sokorskiego Symfonia ta jest dowodem, że Woytowicz znalazł drogę do rozwiązania języka muzycznego nowej epoki i stanął na czele tych, którzy poszukują własnego wyrazu tematycznego i formalnego.

Utwór ten będący wyrazem naszych wojennych przeżyć (widomym znakiem tego jest rozbrzmiewający w I części marsz żałobny, w II — motywy Warszawianki, a w IV — Pieśni Braci Pancernych — w założeniu swoim jest ściśle związana z życiem. Czy przejdzie ona do historii jako dokument, czy też jako dzieło wiecznie żywe — czas pokaże. Woytowicz pisał ten utwór po powstaniu warszawskim, w Milanówku pod Warszawą, będąc ciężko chory i sądząc, że są to ostatnie chwile jego życia. Jak sam autor twierdzi, w utworze tym wypowiedział się on całkowicie. Do najlepszych swych utworów zalicza też Woytowicz Kwartet smyczkowy w r. 1931 i wydany po wojnie przez Polskie Wydawnictwo Muzyczne. Z innych drukowanych kompozycji Woytowicza wspomnieć należy Poemat Żałobny (1935) wydany jeszcze przed wojną przez Warszawskie Towarzystwo Muzyczne, Kołysankę na sopran, flet, klarnet, fagot i harfę (1930), Kantatę dziecinną na trzy głosy dziecięce lub żeńskie („Na pochwałę Bozi i słońca" 1931) i 12 Etiud fortepianowych—utwory wydane przez PWM, oraz Mazurki i Tańce (1939) wydane przed wojną przez Eschiga w Paryżu. Dorobek kompozytorski Woytowicza obejmuje poza tym Suitę Koncertową, Concertino na małą orkiestrę, I Symfonie (Wariacje), Koncert fortepianowy, Balet „Powrót", oraz szereg utworów kameralnych, fortepianowych, skrzypcowych i pieśni. Większość tych utworów spłonęła podczas powstania, względnie zaginęła (22 rękopisy w tym 12 pieśni).

Utwory Woytowicza wykonywane były poza krajem w Paryżu, na festiwalach muzyki współczesnej w Wiedniu i Pradze, oraz w innych jeszcze miastach Europy, a także Ameryki.

Najbliższym zamierzeniem kompozytorskim prof. Woytowicza jest praca nad kompozycją związaną z konkursem ku czci Chopina, oraz nad wyciągiem fortepianowym wspomnianej „Kantaty na pochwałę pracy". która w bież. sezonie ma być grana w Warszawie. Jeżeli chodzi o projekty koncertowe, są one bardzo bogate, Woytowicz wybiera się bowiem z występami do wielu miast. W cyklu koncertów „Żywe wydanie dzieł Chopina" Woytowicz grać będzie 26 Preludiów chopinowskich. W Filharmonii Warszawskiej usłyszymy Woytowicza w kwietniu —na koncercie dyrygowanym przez Neumarka. Woytowicz wykona wraz z J. Hofmanem, w którego interpretacji słyszeliśmy ostatnio Etiudy Symfoniczne Malawskiego, piękny Koncert na dwa fortepiany Poulenca.

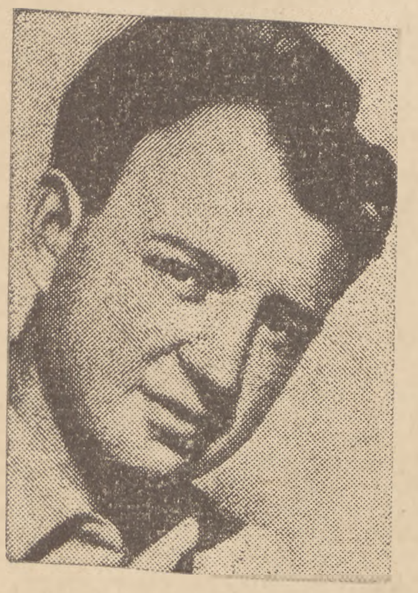
Dla pełniejszego obrazu laureata. przytoczymy jego słowa wygłoszone na uroczystości rozdania nagród: „Czułem się zawsze związany tysiącznymi nićmi ze światem pracy. nie tylko tymi, nićmi, które wypływają z urodzenia, z przekonania. ale przede wszystkim więzią natury emocjonalnej, tą więzią, która każe żyć wewnętrznie w bezpośredniej łączności ze światem pracy, która stanowi o tym. że ten świat jest moim środowiskiem — tym środowiskiem, którego prężność, energię, rozmach, a nawet zapalczywość w budowaniu nowego wspaniałego świata na podstawie najszczytniejszych haseł wolności odczuwam bezpośrednio".

Wanda Bacewiczówna

HOWARD FAST

„DROGA WOLNOŚCI”

W początkach roku 1943 snuło mi się po głowie kilka pomysłów, które miały zrodzić w przyszłości początek „Drogi wolności“. Nie napisałem wtedy jeszcze ani jednego słowa. Zdawałem sobie sprawę, że chcę pokazać początki emancypacji Murzynów na Południu, nazajutrz po zakończeniu



Howard Fast

wojny secesyjnej. Jednak problem zasadniczy: odtworzenie wyobrażnia tych nieznanych prawie kart historii Stanów Zjednoczonych — wydawał mi się tak trudny, że aż nie rokujący nadziei pozytywnego rozwiązania.

Zwierzyłem się ze swych kłopotów pewnemu znajomemu, murzyńskiemu adwokatowi.

— Niech pan odwiedzi mego ojca w Atlanta — było całą jego odpowiedzią.

— Po co? Cóż mi takiego powie?

Adwokat, wysoki mężczyzna o powolnych gestach i niezmiennie życzliwej twarzy, uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

— Bo ja wiem, co? Pan go sam wypyta na wszystkie strony; wcale nie wykluczone, że dowie się pan od niego ciekawych rzeczy.

W rezultacie tej lakonicznej rozmowy znalazłem się pewnego dnia w Atlanta — nigdy nie jest się pewnym, który klucz otworzy bramę — i spędziłem cały dzień ze starym Murzynem o pooranych zmarszczkami policzkach, którego ciemne oczy widziały zbyt wiele cierpień i rozpaczy.

Mieszkał w skromnym pokoiku hotelowym; był wdowcem, żyjącym samotnie. Rozmawiał ze mną bez większego ożywienia aż do momentu, w którym wyrzekłem imię jego syna. Na ten dźwięk oczy mu zamigotały. Z werwą i ogniem opowiedział mi historię słynnego. historycznego już procesu przed trybunałem białych, w którym wziął udział jego syn, a w którym stawką było życie człowieka.

Powrócę jeszcze do samego procesu, jak i do syna. Tymczasem muszę mówić o ojcu, który westchnął, kończąc tamto opowiadanie:

— A teraz — mój chłopak jest komunistą...

— Pański syn — wtrąciłem — jest również wybitnym przywódcą swego ludu. Kochają go i słuchają go.

— Czy można kochać komunistę, czy można słuchać komunisty? — zapytał stary powoli.

— Oczywiście, skoro zna wasze potrzeby i skoro zajmuje się waszymi sprawami. Wtedy ma się do niego zaufanie. Takie zaufanie, jakie mają do pańskiego syna.

— Nawet jeśli odwraca on głowę od Boga?

Zapytałem go, czy walki o polepszenie bytu swego ludu nie nazywa służbą bożą, lecz starzec potrząsnął smutnie głową i odparł:

— Nie jestem tego zdania. Byłem republikaninem i republikaninem był mój ojciec; co zaś do mego syna, to mógł mieć majątek, poważanie i spokój jak ci z Murzynów, którzy zajęli wpływowe stanowiska...

Jednak w głosie jego, obok żalu, dźwięczała jakaś nuta dumy, dumy, którą z pewnością sam rozumiał tylko w części.

Opuszczając go, miałem już w głowie pierwsze rozdziały „Drogi wolności“. Jego to postać posłużyła mi do narysowania sylwetki Brata Piotra, przyjaciela, ojca i wychowawcy mego bohatera, Gideona Jackson.

Z Atlanta pojechałem, gdzie mnie oczy poniosą, przed siebie, gdzieś w uroczy Middle South, jak to tylekroć czyniłem Dopiero jednak po powrocie do Nowego Jorku, gdy odnalazłem syna starego człowieka, komunistę, który mógł był tyle zyskać, gdyby nie wybrał pewnej drogi, dopiero wtedy postać Gideona przybrała zdecydowane i wyraźne kształty. Adwokat, który namówił mnie na wyjazd do Atlanta dla spotkania się z jego ojcem — był to Ben Davis.

Sposób, w jaki o nim opowiadam, by niejako „od tyłu“ dojść do jego nazwiska nie jest przypadkowy. Chciałbym mówić o nim, lecz zrobiłem to znacznie lepiej w swej książce. Lepiej, niż mógłbym napisać w tak szczupłych ramach, które mam do dyspozycji. O przywódcy murzyńskim tego pokroju, co Ben Davis, nie wystarczy opowiedzieć wyliczając jego zalety.

Powiedzieć, że Ben Davis jest komunistą — to niewiele. Trzeba pokazać, że jego akces do komunizmu jest rezultatem straszliwej, stuletniej walki i upokorzeń, doznanych przez jego lud.

Powiedzieć, że Ben Davis — wraz z jedenastoma innymi przywódcami amerykańskiej partii komunistycznej — został uwięziony za szerzenie idei rewolucyjnych, to mało. Trzeba pokazać, że jego lud był zawsze przeniknięty ideami rewolucyjnymi i że były one jedynie czasowo utajone. Czyż wolność nie była od wieków najbardziej rewolucyjna z idei dla ludzi gnębionych i uciskanych?

Oto dlaczego wybrałem osobę Ben Davisa, aby stworzyć postać Gideona, aby napisać książkę, zatytułowaną „Droga wolności“. Cztery pokolenia dzielą tych dwóch ludzi, lecz ich walka jest ta sama. Ben Davis, tak jak i wybitni Murzyni okresu emancypacji, wyrósł z żywego gniewu swego ludu, w okresie wzmożonej walki o wolność. Jak i oni, posiada nadzwyczajny hart ducha, przeniknięty jest nienawiścią do wszystkich gnębicieli i zdecydowany jest uwolnić od nich świat. W przeciwieństwie jednak do nich posiada jeszcze naukowy światopogląd społeczny, który zwie się marksizmem. Jest jednym z tych przywódców partyjnych, którzy poświęcają się dla sprawy wolności całego świata.

Nikt nie rodzi się komunistą. W ten czy w inny sposób samo społeczeństwo stwarza komunistów. Dzieje się to według odwiecznego porządku rzeczy: niesprawiedliwość tworzy tych, którzy domagają się sprawiedliwości i o nią walczą.

Tak się właśnie stało i tym razem. Pewnego dnia w roku 1932 sześciuset bezrobotnych, białych i czarnych, urządziło demonstrację przed pałacem Sprawiedliwości w Atlanta. W zwartym szyku, w najzupełniejszym porządku, żądali pracy, pomocy i chleba, by zaspokoić głód swych dzieci i żon. Żądali pracy, potrzebowali w pierwszym rzędzie jedzenia...

Rozpędzono ich brutalnie i odmówiono kategorycznie wysłuchania.

W kilka dni później jeden z bezrobotnych, młody Murzyn, Angelo Herndon, został nagle aresztowany. Nie było to zwykłe aresztowanie, pod tradycyjnym zarzutem zakłócenia spokoju publicznego. Herndon został oskarżony o zorganizowanie spisku, celem zbrojnego obalenia prawowitej władzy wolnego Stanu Georgia i w razie uznania winnym zostałby skazany na śmierć.

Międzynarodowy Komitet Obrony Robotników zaangażował do obrony Herndona jakiegoś adwokata - południowca. Adwokat obiecał zająć się sprawą pod trzema warunkami. Zażądał po pierwsze, by legalność prawa, na mocy którego Herndon miał być sądzony, nie była kwestionowana; po drugie, by nie kwestionowano prawa kompletu sędziowskiego, złożonego z białych, do sądzenia Murzyna; po trzecie, by Herndon oświadczył publicznie, że nie ma nic wspólnego z partią komunistyczną.

Komitet i Herndon odrzucili te warunki i adwokat zrzekł się prowadzenia sprawy. Wówczas to wystąpił na widownię młody adwokat, Murzyn, Ben Davis i podjął się obrony Herndona. W tym momencie zawarł Davis podwójny pakt — pakt, którego odtąd wiernie dochowywał — ze swym ludem i wolnością.

Wszystko to zdarzyło się równo w dwa miesiące od chwili, gdy Ben Davis został zapisany w poczet adwokatów stolicy stanu Georgia. Gdy otworzył gabinet, znajdował się u progu pomyślności. Niewielu było w Atlanta adwokatów - Murzynów, a bez wątpienia żaden z nich nie był absolwentem słynnego kolegium w Amhurst ani Wydziału Prawnego Uniwersytetu w Harvard. Wymagano od niego jedynie wykonania zawodu i pilnowania swego miejsca.

Oczekiwało go powodzenie, pod warunkiem, że nie będzie się zajmował tym, co nazywają sprawiedliwością; że będzie się trzymał z daleka od spraw tak delikatnych i ryzykownych, jak sprawa Herndona; że wreszcie nie będzie walczył o prawa konstytucyjne swego ludu. Pod tymi warunkami osiągnąć mógł największy sukces, do jakiego dojść może Murzyn na południu Stanów Zjednoczonych: mógł żyć w spokoju i względnym dobrobycie.

Nie zważając na to, Ben Davis zajął wyraźne stanowisko. Było mu obojętne, czy Angelo Herndon jest komunistą czy nie. Herndon był człowiekiem niesłusznie oskarżonym wymagającym obrony. I Davis tej obrony się podjął.

W ten sposób, przez 16 lat swego życia, szedł od potyczki do potyczki i nie ma w jego karierze ani jednego momentu, który nie byłby bezkompromisową walką z wstecznictwem.

W r. 1943, w wyborach municypalnych, wybrany został radnym Nowego Jorku i przez 5 lat był jednym z administratorów największego miasta na świecie.

Należąc do głównego sekretariatu Amerykańskiej Partii Komunistycznej naraził się na karę więzienia, upozorowaną „szerzeniem idei rewolucyjnych“. Tak, temu się nie da zaprzeczyć, te idee są rzeczywiście rewolucyjne, gdyż Davis wzywa czarnych do walki o wolność z konsekwencją i hartem, który nie ma precedensu. Jest istotnie człowiekiem niebezpiecznym, gdyż jeśli 14 milionów czarnych pójdzie za kimś takim, jak on, to nie zatrzyma się z pewnością, aż po spełnieniu wszystkich swych postulatów.

Gdy Davis został wezwany do stawienia się przed niesławnej pamięci komisją rządową do badania działalności antyamerykańskiej — a zakładała ona z góry, że każdy Murzyn, walczący o wolność swego ludu, uprawia działalność antyamerykańską — pokazał najlepiej, do jakiego rodzaju działaczy należy. Wziął się z miejsca do Rankina (przewodniczącego komisji — przyp. tłum.), zaatakował go ostro i wyciągnął na światło dzienne. fakt, że on, Ben Davis, został wybrany na swoje stanowisko wielokrotnie większą liczbą głosów niż Rankin.

Dochodzimy tutaj do sedna rzeczy, gdyż powstaje pytanie, jakim cudem Davis mógł zostać wybrany w Nowym Jorku przez liczbę wyborców, więcej niż pięciokrotnie przekraczającą liczbę komunistów, na dobitek wśród rozpętanej ostatnio kampanii antykomunistycznej. Odpowiedź jest niezwykle prosta: jego postępowanie było sumienne i uczciwe nie pomimo tego, że jest komunistą, lecz w znacznej mierze dlatego, że jest komunistą. A fakt ten nie łatwo ukryć przed szarym człowiekiem.

Porównuję niejednokrotnie Ben Davisa z „liberalnymi“ działaczami murzyńskimi, których znam, zwłaszcza z tymi, którzy chodzą powoli i przemawiają łagodnie i słodko. Ci apostołowie postępu w zwolnionym tempie i uświęconej nierówności wyjaśniają lepiej, niż długie tyrady, czemu przekonania Ben Davisa są obecnie przedmiotem rozprawy sądowej.

Gdyż całą filozofię Ben Davisa zawrzeć można w tych paru słowach: „Czas wolności nadszedł“.

Howard Fast

przełożył **Jerzy Płażewski**

JANUSZ BOGUCKI

Społeczna ofensywa muzealnictwa



Ten utwór kartograficzny obrazuje dotychczasową działalność muzealnych wystaw objazdowych, o których pisałem obszerniej w nr 49 (210) „Odrodzenia“ („Kariera muzy Klio“).

Pośrodku widnieje panegiryczna podobizna naczelnego dyrektora muzeów prof. Lorentza, który pod osobistym natchnieniem muzy Klio, kieruje ruchem jeżdżących po mapce wystaw. Każdą z nich oznaczono w jej mieście macierzystym stosownym graficznym symbolem. Dla ścisłości pominięto tu tylko kilka wystaw pół-ruchomych urządzonych przez Muzeum Narodowe w Warszawie jak np.: wystawę norwidowską, sztuki religijnej, malarstwa polskiego, lub pokaz sztuki antycznej zorganizowany dla szkół warszawskich, wystawy te bowiem działały tylko na terenie kilku większych ośrodków miejskich lub wczasowych, mając raczej charakter występów gościnnych niż imprezy koczowniczej.

Właściwych wystaw objazdowych, zapoczątkowanych jeszcze w roku 1947 wędrówką matejkowskich „Dziejów cywilizacji“ z warszawskiego Muzeum Narodowego — było dotychczas 8. Działalność ich przypadła głównie na rok 1948. Wszystkie wystawy były w podróży około 40 miesięcy, odbywając w tym czasie 149 postojów. Według prowizorycznych obliczeń zwiedziło je ogółem blisko pół miliona osób. W tej liczbie przynajmniej 75 proc. stanowi ludność robotnicza, chłopska i małomiasteczkowa.

Na mapce oznaczono wyłącznie miejscowości, w których zatrzymywały się wystawy. Miast większych (25—100.000 mieszk.) znalazło się na trasach 29, miast średnich (10—25 tys. mieszk.) — 25, małych miasteczek i wsi (poniżej 10 tys. mieszk.) — 45. Ponadto dłuższe postoje były organizowane w 10 miastach dużych, liczących ponad 100.000 mieszk.

Jak widać z rozkładu punktów na mapie, szlaki wędrówek, objęły prawie całą Polskę, przy czym osierocone były tylko województwa północno-wschodnie, na które przygotowuje się wielką ofensywę w roku bieżącym. Najlepiej były obsłużone dotychczas woj. kieleckie, śląsko-dąbrowskie i poznańskie; z Ziem Odzyskanych: lubuska i opolska. Są to skromne początki rozległej działalności, której dalszy rozwój, kształtując się coraz bardziej planowo idzie w kierunku stałego rozszerzania zasięgu społecznego. Zwiększona ilość wystaw i trasy przewidywane w roku bieżącym zapewnić powinny z jednej strony racjonalne rozprowadzenie określonych treści, z drugiej wzmożoną systematyczną penetrację do drobnych osiedli. Tak np. wystawa „Bitwa pod Grunwaldem“ przygotowywana w Krakowie, obsługując woj. kieleckie nie poprzestanie na odwiedzeniu ważniejszych miast i kilku miasteczek, lecz odwiedzi około 40 miejscowości tego rejonu. Dopiero tak zgęszczona trasa dać może istotny, niepowierzchowny wynik „upowszechnienia“.

W poprzednim artykule starałem się określić sens i znaczenie wędrownego muzealnictwa, analizując treść tej działalności i jej bezpośrednie skutki społeczne. Aby jednak ocenić jak rozległy wkład w dzieło rewolucji kulturalnej dać mogą zmotoryzowane muzealia, trzeba zapoznać się z następującym krótkim obliczeniem. Jeśli w roku bieżącym starczy kredytów na uruchomienie 15 wystaw i tyluż ciężarówek zapewniających każdej wystawie podróż 8-miesięczną, to — zgodnie z tegorocznymi wynikami pracy — do 1 stycznia 1950 wystawy będą mogły objechać około 600 miejscowości uzyskując frekwencję od 2 — 2,5 miliona osób. Rozbudowując w ramach planu sześcioletniego ilość wystaw do 50 uzyskamy w roku 1954 około 10 milionów zwiedzających rocznie, co po dodaniu do frekwencji w muzeach „stałych“ przewyższy znacznie połowę ludności w Polsce.

Nie ma przy tym obawy, że nastąpi „inflancja“ imprez wystawowych przy takim ich rozmnożeniu: aby jedna wystawa objechała dokładnie jedno województwo potrzeba od 6 — 15 miesięcy. Operując więc nawet 50 wystawami nie zajedzie się częściej jak 2 — 4 razy przeciętnie do jednej miejscowości w ciągu roku.

Tyle geografii i arytmetyki. Na zakończenie mała uwaga natury apologetycznej: kilkakrotnie spotykałem się ze zdaniem, że zamiast obwozić zabytki, lepiej zorganizować większy dopływ zwiedzających z prowincji do miast posiadających większe muzea. Jest to bardzo niesłuszny i powierzchowny pogląd. Przede wszystkim miast z większymi muzeami mamy w kraju b. niewiele, a większość tych instytucji nie jest przystosowana należycie do przyjęcia masowego widza. Przystosowanie takie wymagać musi jeszcze ogromnego nakładu kosztów i pracy zarówno w kierunku rozszerzenia pomieszczeń dla wystaw, jak wypracowania i realizacji nowych metod ekspozycyjnych. W tych warunkach niezależnie od konieczności wzmożenia „dowozu“ zwiedzających do miast — wyraźnie występuje podstawowe znaczenie wędrownych wystaw. Pomińmy nawet łatwe do sprawdzenia argumenty, że liczba publiczności „dowożonej“ jest ograniczona szczupłą ilością miast „muzealnych“ i ich ograniczoną pojemnością dla ruchu wycieczkowego. Ważniejsze są argumenty wychowawczo-psychologiczne. Widz, który wśród pośpiechu i niewygód parodniowej wycieczki obiega wszystkie zabytki, galerie, teatry i osobliwości dużego miasta, ogląda wprawdzie zwykle rzeczy najwartościowsze, ale w takim tempie i zgęszczeniu, które nie pozwala na uzyskanie istotnie trwałych i pełnych korzyści. Wystawa odwiedzająca wieś lub miasteczko przywozi wprawdzie skromniejszy zespół eksponatów, lecz zespół specjalnie przygotowany, podający treści wybrane i sprecyzowane czytelnie, objaśnione odczytem i fachowym oprowadzeniem. Przede wszystkim zaś wystawę taką można obejrzeć w skupieniu, bez pośpiechu, zmęczenia i natłoku wrażeń, które cechują zwiedzanie trybu wycieczkowego. Wreszcie doniosły moment społeczno-wychowawczy: przybywając do dużego miasta ludzie z prowincji są oszołomieni i onieśmieleni wspaniałościami obiektów cywilizacji i kultury, do których pielgrzymują w najlepszym wypadku raz czy dwa razy w roku, często z niemałym trudem. Wynika stąd krzywdzący kompleks niższości, który wyrównać mogą właśnie imprezy objazdowe, powodując, że nie tylko widz prowincjonalny pielgrzymować będzie w poszukiwaniu kultury, ale i kultura wyruszy ze swych hierarchicznych mateczników, by bratać się z nowym odbiorcą na jego powszednim podwórku.

Janusz Bogucki

ARTUR MIĘDZYRZECKI

MUZEUM

Gobelin

Grają piszczałki, dudnią bębny
A później flet i jedna struna żalu
Budują cały krajobraz:
Czerwone wzgórze i niewielką oliwkę
Pod którą za chwilę zjawi się faun.

Wszystko ma jeszcze głęboką barwę
Zieleni, purpury i złota
Ale już powoli płowieje
I gobelin zawiśnie na ścianie muzeum
Wyblakłą pozytywką muzyki

Martwa natura

Martwa natura jest wyzwaniem rzuconym naszej obojętności.
Przedmioty martwe są bowiem, w przeciwieństwie do nas, pełne niepokoju
I reagują na przybliżenie ku nim cytryny o wiele żywiej
Niż czuła dziewczyna na powrót ukochanego.
Do martwej natury należy więc podchodzić cicho,
Ażeby nie dać poznać własnej obecności.
Martwa natura jest cmentarzem
Uczuć nieznanych ludziom,
A do których zaliczyć można
Magnetyczną pamięć żelaza.

ZBIGNIEW STOLAREK

Murarz biały, choć nie anioł...

To murarz biały zniża niebo,
gdy coraz wyżej cegłę kładzie,
gdy słup powietrza, ponad cegłą,
kielnią pomniejsza coraz bardziej...

I murarz biały, choć nie anioł,
choć o powietrze się nie oprze!
lecz wznosi ziemię rusztowaniem,
by dać na kielni gwieździe nocleg.

JERZY GRYGOLUNAS

rys. MARIA HISZPAŃSKA

ZŁOTNICY

Osada P. swoją historią sięga czasów Napoleona. Jest w niej trakt Napoleona, rośnie drzewo, stary dąb, pod którym Napoleon skrył się przed deszczem, kiedy z wojskami podróżował na Moskwę. Jest studnia, z której pił wodę, i stary, barokowy kościół, z którego, jak opowiadają sędziwi mieszkańcy, Napoleon uciekając z Rosji wykradł misternie rzeźbionego Chrystusa z kości słoniowej. Za kościołem jest zarośnięty trzcinami i pływającą rzęsą staw. Na nim jeden z ówczesnych posiadaczy P. hrabia Unrug hodował łabędzie, jeździł wenecką gondolą, a w środku na wyspie wybudował letni pałacyk, w którym urządzał huczne przyjęcia dla panów z Warszawy i dla okolicznej szlachty. Unrug założył w P. jedną z pierwszych polskich manufaktur, wyrabiających pasy słuckie. Zatrudnił w niej pod doświadczonym okiem majstrów sprowadzonych z Belgii okoliczną ludność rzemieślniczą i chłopską. Jeszcze dzisiaj można oglądać małą ceglaną kapliczkę wybudowaną nad grobem majstrów. Kilka lat po ich śmierci rozeszła się wiadomość, że bogaci Belgowie ukryli na cmentarzu kościelnym skrzynkę złotych dukatów. Mniej więcej w tym samym czasie rozpoczęła się wędrówka ludzi z łopatami i trwała tak długo, dopóki zupełnie przypadkowo nie natrafiono na ślad skarbu.

Przy końcu XIX wieku wszechwładnie panujący w parafii w P. proboszcz ksiądz Marmurek uważał, że freski pokrywające zewnętrzne ściany kościoła obrażają gorące wierzenia religijne i nie licują z powagą świątyni i domu bożego. Kazał je ze ścian pozdrapywać i zatynkować białym murem. Stare, robione przez malarzy z dworu króla Stanisława malowidła wewnętrzne wydawały mu się zniszczone swym przeszło wiekowym istnieniem, dlatego sprowadził kilku miernych, prowincjonalnych malarzy, którym kazał naprawić porysowane twarze madonn, świętych i Chrystusa. Po kilku dniach pracy pacykarze w tajemniczy sposób ulotnili się z P. Tego dnia, jak codziennie spacerujący po kościele proboszcz Marmurek ku swemu przerażeniu zobaczył wybitą dziurę w filarze, a na kamiennej posadzce rozbity gliniany garniec.

Tajemnicza plotka o skarbie jednak nie umarła. Około roku 1929 zajechało kilka luksusowych samochodów przed plebanię w P. Wysiadło z nich czterech oficerów, z których jeden w randze pułkownika był bliskim przyjacielem Piłsudskiego. Oficerowie badali mapę, a po odmierzeniu pięćdziesięciometrowego kwadratu kazali żołnierzom ogrodzić teren drutami. Po ich odjeździe okoliczni mieszkańcy rozkopywali ziemię na granicy ostatniego właściciela P. i plebanii. Belgijskie Kolorado jednak pozostało mitem. Złota nie znaleziono, a wykopano jedynie szable i groty od pik kawalerii polskiej, która tu na Ułańskiej Łące przed stukilkudziesięciu latami poniosła porażkę.

Wojna 1939 roku zastała P. w ospałym osłupieniu. Po miesiącu żołnierze esesowskich dywizji pili Branntwein z miejscowymi kokotami, a pół roku później miejscowa młodzież urządziła pierwszą akcję na niemieckich okupantów. Oddalone od P. o dwa kilometry małe miasteczko W. zaludnione było w pięćdziesięciu procentach przez ludność żydowską. Jeszcze podczas pierwszych miesięcy po założeniu przez Niemców żydowskiego ghetta pomiędzy W. a P., wszystkie sklepy w miasteczku i osadzie były zaopatrywane w pieczywo przez jego mieszkańców. W czerwcu 1941 roku po Trakcie Napoleona przetoczyły się baterie ciężkiej niemieckiej artylerii a w 1942 r. zlikwidowano ghetto. Między tymi samymi ludźmi, handlującymi do niedawna z Żydami, znaleźli się tacy, którzy wyruszyli rozpruwać pierzyny w opuszczonych mieszkaniach. Szukali złota przy akompaniamencie salw niemieckich karabinów.

Ewę poznałem w słoneczny, letni dzień w kościele w P. Stała oparta o kolumnę, w którą wierni parafianie wmurowali popiersie proboszcza Marmurka. Za ręce trzymała dwoje biednie ubranych dzieci. Niższa od chłopczyka dziewczynka cienkim paluszkiem dłubała w nosie. Nad ich głowami unosiły się pozłacane barokowe aniołki. Było duszno. Wyszedłem na kościelny cmentarzyk i usiadłem na ławce. Drzwi kościoła były otwarte. Na tle błyszczących wielkich żyrandoli klęczały wiejskie kobiety. Z wnętrza dobiegała muzyka rozstrojonych organów.

Siedziałem na starej zmurszałej ławce. Za moimi plecami rozwijała się panorama stawu; pomiędzy wierzbami sterczały szczątki zgniłego mostku. Nieco dalej stał młyn, jednym skrzydłem dotykający nieba i stary podobny raczej do stodoły rozsypujący się modrzewiowy dworek. Pozostałe jeszcze z czasów Wenecji Unruga dwa kamienne sfinksy strzegły wejścia do parku, w którym bielały fundamenty pałacu, rozebranego podczas pierwszej wojny światowej. Śpiewy kościelne i muzyka organów mieszała się z krzykiem bawiących się dzieci wiejskich.

Zniecierpliwiony czekałem na koniec mszy, a kiedy wszedł na ambonę wypomadowany wikariusz — na koniec jego kazania. Ksiądz skończył mówić i tłum ludzi wyszedł z kościoła. Widziałem jak ciotka z Hanką wyłoniły się z niego i zniknęły za bramą. Ciotka miała na głowie zielony kapelusz z piórkiem, Hanka — czerwoną chusteczkę, pamiątkę po zamordowanym w obozie ojcu. Za nimi szedł niski gogusiowaty doktór z małym fryzjerskim wąsikiem nad górną wargą. Ukłoniłem się, ale mnie nie zauważył, albo nie chciał zauważyć — skromnie ubranego siedemnastoletniego chłopca w harcerskich spodenkach. Obserwując sunący po czerwonym murze kapelusz ciotki, wstałem z ławeczki i podszedłem do seledynowej budki, w której bezzębny struszek sprzedawał dewocjonalia. Oglądając obrazki i figurynki czekałem aż dziewczyna z dziećmi wyjdzie z odpoczywającego po nabożeństwie kościoła. Zobaczyłem ją w momencie, kiedy oderwałem wzrok od uśmiechniętego obrazka Madonny. Szła, prowadząc dzieci za ręce. Zauważyłem, że ma opuszczone oczy i nie patrzy na nikogo. Postanowiłem iść za nią, ale w momencie, gdy zrobiłem pierwsze dwa kroki, podszedł do mnie Stefan, syn wójta.

— Czołem, co jesteś taki zaczerwieniony?

— Daj papierosa — powiedziałem, czując, że robię się na twarzy jak zupa rakowa. — Podał mi „Mewę" jeszcze z przedwojennych zapasów.
— Czy widziałeś tę nową dziewczynkę? To Żydówka — powiedział.

— Nie, nie widziałem — skłamałem.

— O, patrz. Tam idzie z dziećmi — pokazał palcem — chcesz to ciebie zapoznam. Chodźmy prędzej. — Szybko minęliśmy bramę.

— Będzie ci się podobała — powiedział Stefan. — Ona lubi recytować wiersze. Zna na pamięć dużo wierszy Tuwima.

— A ile ma lat? — zapytałem — robiąc sceptyczną minę.

— Piętnaście.

— Fi, to przecież smarkacz. Co ona może umieć?

— Nie bądź Korfanty. Nie wiesz, że Żydówki szybko dojrzewają? — Stefan zrobił znaczące oko. Z niedowierzaniem pokiwałem głową.

— No, to chodźmy z nią do parku. Niech nam zarecytuje — powiedziałem.

Przywiązane do wozu chłopskie habety strzygły uszami. Wielkie czerwcowe muchy obsiadły im nozdrza. Chłopi stojąc w małych grupkach palili papierosy. Od czasu do czasu pędem odjeżdżały furmanki. Stefan zwinął dłonie w trąbkę i krzyknął w kierunku idącej przed nami dziewczyny.

— Ewa!

Odwróciła się wolno. Po chwili szliśmy już razem. Postanowiłem przerwać kłopotliwe milczenie i powiedziałem.

— Słyszałem, że pani bardzo pięknie recytuje wiersze. Ja bardzo lubię słuchać. Bardzo piękne są wiersze Tuwima. — Spojrzała na mnie wielkimi brązowymi oczami.

— Pan zna wiersze Tuwima? — ucieszyła się. — Dobrze. Bardzo chętnie wam coś powiem. Może z „Biblii cygańskiej"?

— O tak, z bibli cygańskiej — bezbarwnie powiedział Stefan.

— Ale tam, gdzie nie ma ludzi — uśmiechnęła się Ewa.

— Chodźmy do parku. Tam jest najprzyjemniej — zaproponowałem.

Byliśmy oddaleni od parku o kilkadziesiąt metrów i już po kilku minutach otoczył nas zapach suchych liści przekwitłej akacji. Usiedliśmy w cieniu. Nie podobały mi się spojrzenia Stefana. Wiedziałem, że nie słucha. Długim prętem jaśminu uderzał się po błyszczących cholewach. Po chwili wstał, przeprosił mnie i zabrał Ewę. Chwilę szeptali za krzakami. Położyłem się na miękkiej soczystej trawie i udając, że bardzo jestem zajęty obserwowaniem wielkich czerwonych, błąkających się zdala od mrowiska mrówek, kątem oka przyglądałem się ich postaciom. Dzieci długimi suchymi kijkami straszyły latające nad krzakami zielone ważki. Dziewczynka o rozszerzonych zielonych oczach przyniosła małego błękitnego motylka z odgniecionym odwłokiem i łobuzersko uśmiechając się do mnie położyła go przed mrówką. Ująłem go łagodnie za skrzydełko i przeniosłem na rozpostarty nad moją głową dębowy liść.

— Musimy już iść — powiedział podchodząc do mnie Stefan. — Jak chcesz to możesz przyjść wieczorem do Tadzika. Będę u niego z Ewą.

— Nie, niestety, nie mogę. Nie mam czasu — skłamałem. — Muszę się uczyć. Będę chodził do szkoły w Warszawie. — Pożegnałem się i poszedłem szeroką aleją do żelaznego parkanu, przez który zawsze przechodziłem w miejscu najbliższym domu ciotki. Spojrzałem na zegarek. Była godzina trzecia. Pobiegłem szybko do domu; w niedzielę ciotka robiła obiad o trzeciej. Wszedłem do ogródka przez posesję sąsiadów. Zaczepiła mnie pół nago wylegująca się pod klonami córka gospodarzy.

— Widziałam ciebie z tą Żydówką — zaskrzeczała piskliwym głosem.

— Z jaką Żydówką? — odburknąłem.

— No, nie udawaj, z tą od Muranowej.

Roześmiałem się tłumiąc wściekłość.

— To nie Żydówka — powiedziałem — ona ma babkę Włoszkę. Dlatego jest ciemna.

— O, la, la, nie udawaj głupiego. Ona ukrywa się u Muranowej.

— No, to niech ciebie to nie obchodzi — minąłem ją szybko i poszedłem w stronę domu, skąd głos Hanki dobiegał aż do brązowawych klonów. Zdążyłem ledwo umyć ręce, kiedy ciotka krzyknęła z jadalni, małego pokoiku, w którym jedynym meblem był kulawy stół, a całe chmary much dokuczały od świtu do nocy: „Dzieci, obiad na stole". Usiadłem na swoim miejscu pomiędzy Hanką a ciotką. Ułamałem kawałek chleba i zanurzyłem w zupie łyżkę.

— Słyszeliście — mówiła lekko śliniąc się ciotka — dzisiaj w nocy przyszło dwóch mężczyzn do Kondrackiego. Powiedzieli, że jak im nie da pieniędzy, to go zadenuncjują. Dwóch jakichś młodych. Jednego zdaje się Kondracki poznał. Ja wam mówię, że to był Fikus. On wszystkich Żydów w okolicy szantażuje. — Powoli wciągałem zupę. Hanka wytarła nos chusteczką.

— Jak ciotka nie wie na pewno, to niech nie mówi — odezwałem się znad talerza. — Skąd ciocia wie, że Kondracki nie fantazjuje. Taki on Żyd, jak i ja.

— Mieciu — powiedziała ciotka — ty zawsze musisz być intrygantem. Od dzieciństwa jątrzyłeś wszystkich w rodzinie. Jak ciotka mówi, to znaczy, że tak było.

— O, patrzcie — krzyknęła Hanka — bocian usiadł na naszej brzozie.



— Wam zawsze bociany w głowie — powiedziała ciotka. — Na jutro nie mamy chleba. U rzeźnika nie można dostać mięsa. Bocian usiadł na drzewie. Kara boska! Co się dzieje na świecie, to tylko Bóg najwyższy wie.

— Nie kara boska — odpowiedziałem odstawiając talerz — ale głupota i okrucieństwo ludzi.

— Nie kara boska, nie kara boska — przedrzeźniała ciotka. — Ty zawsze chcesz być mądrzejszy od innych. Twój ojciec był taki sam jak ty i dlatego ściągnął na siebie karę nieba.

Zerwałem się od stołu. Nic zresztą nie było więcej do jedzenia. Zupa kartoflana i śledzie. Wyszedłem do ogródka i usnąłem pod jabłonką. Kiedy obudziłem się, leżałem w zaduchu wilgotnej trawy. Słońce wisiało jeszcze wysoko. Nade mną śpiewał szpak, siedząc na swojej budce. Przy torze kolejowym zaterkotały strzały i szpak odleciał na sąsiednią brzozę. Postanowiłem zaraz iść do Stefana. Podniosłem się spomiędzy duszącego zapachu i poszedłem w róg ogródka gdzie stała prostokątna drewniana budka z wyciętym w drzwiczkach serduszkiem. Jak zwykle zanim ją opuściłem, musiałem przestudiować cały „Nowy Kurier Warszawski". Wyszedłem i zapaliłem papierosa. Ciotka zrywała w ogródku słoneczniki, a Hanka siedziała z makatką pomiędzy okwitającymi carskimi koronami. Otworzyłem furtkę na wąską uliczkę, w której piasku bawiły się umorusane dzieci.

Stefana mogłem po obiedzie zastać w biurze gminy, gdzie codziennie po południu, jednym palcem przepisywał pornograficzne wierszyki. Koło białej figurki Matki Boskiej skręciłem na lewo, żeby przez naniesione tu przez wiatry piaski szybciej dojść do starego, przywiezionego kilkadziesiąt lat temu z Konstancina, budynku stacyjnego. Koło budki dróżnika siedział strażnik kolejowy z karabinem. Pilnował zrzuconego przez „węglarzy" i zarekwirowanego przez niemiecką żandarmerię kolejową węgla. Palił papierosa i przyglądał się wiszącym na telegraficznych drutach aksamitnym jaskółkom. Koło gminy kilkunastoletni chłopcy grali w piłkę nożną. Idąc wzdłuż boiska, doszedłem do ukrytej pomiędzy tujami żelaznej furtki.

Stefan, jak przypuszczałem, pisał na maszynie. Stukot starego Remingtona dobiegał z gabinetu wójta. Wszedłem po żelaznych kręconych schodach na pierwsze piętro. Drzwi były otwarte, a miękki chodnik z samodziału zgłuszył moje kroki. Kiedy stanąłem za jego plecami, kanciasta i niesympatyczna twarz Stefana odwróciła się do mnie.

— Hände hoch — powiedziałem śmiejąc się. — Du verfluchter. — Zauważyłem, że Stefan instynktownie zakrył rękawem białą wkręconą w maszynę kartkę.

— Nie wygłupiaj się — powiedział oschło.

— Co przepisujesz, nowy wierszyk? — zapytałem.

— Tak, wierszyk — odburknął. — Zejdź na dół i zaczekaj.

— Przyjacielu — zaciągnąłem — chyba razem zejdziemy na dół. Przyszedłem do ciebie w bardzo ważnej sprawie. Ale pokaż mi co napisałeś.

— Odczep się. Czy muszę ci wszystkie moje wiersze pokazywać? Nie jestem zobowiązany.

— O, nie jesteś zobowiązany — zaironizowałem. — Właśnie, że mi pokażesz!

Odepchnąłem ramię Stefana i błyskawicznym ruchem wykręciłem maszynopis spomiędzy wałków. Nie rzucił się na mnie, tylko patrzył ironicznie. Przeczytałem niewielki tekst niemiecki. W ręku trzymałem kartkę z doniesieniem na Ewę.

— No i po co to napisałeś? — zapytałem.

— Taka mała wprawka na maszynie — odpowiedział mrużąc oko.

— Jesteś świnia, ale o tym porozmawiamy później. — Stefan zrobił ruch, jakby chciał na mnie się rzucić. Opanował się jednak i zapalił papierosa.

— Dzisiaj przy obiedzie ciotka mówiła, że Fikus szantażuje redaktora Kondrackiego. Czy to prawda?

— Tak, to prawda. Kondracki wczoraj wyjechał z P.

— A czy nie próbował nikt w P. — patrząc mu w oczy, powiedziałem — poza tobą szantażować Ewy? — Stefan spojrzał na mnie swoimi chytrymi, wąskimi oczami.

— Dotychczas nikt, ale mam nadzieję, że jak nie schowa się do jakiejś nory, to pozna nieco innych niż ja szantażystów. Przypuszczam, że w najbliższym czasie zrobi to Fikus.

Podarłem na małe kawałeczki kartę maszynopisu i podszedłem do parapetu. Kiedy je wypuściłem, rozbiegły się po niebie jak kępki białego pierza. Wyjrzałem oknem. Chłopcy krzyczeli i grali. Pomiędzy żywopłotem a domem całowała się dziewczyna z mężczyzną. Miała czarne włosy i białą sukienkę. Zamknąłem okno i odwróciłem się do Stefana. Stefan podniósł się z krzesła, na którym siedział z niedbale opuszczoną za poręcz ręką.

— Słuchaj — powiedział — zbliżając się do mnie. — Odczep się ode mnie i od sprawy Ewy. Po cholerę ciebie z nią zapoznawałem. Nie wygłupiaj się — dodał groźnie — i nie mów jej co przeczytałeś. Wiesz, że napisałem to tylko dlatego, żeby ją trochę postraszyć. Z Fikusem zrobi porządek organizacja, a ty nie bądź roztrzęsioną babą i radzę ci nie mieszać się do nie swoich interesów.

— Świnia — zakląłem pod nosem i szybko wyszedłem z pokoju.

— Będziesz u Tadzika? — krzyknął za mną.

— Nie wiem. Ale ty nie zapomnij przynieść nowego listu do pana Hauptmana — zawołałem schodząc po schodach. Słyszałem jak zrobił kilka kroków w kierunku drzwi, ale widocznie zrezygnował z bójki. Poszedłem pomiędzy zielonymi ogrodami do domku Muranowej. Mimo, że niosłem złe wiadomości, byłem szczęśliwy. Urwałem gałązkę ostrej akacji i powróżyłem sobie, czy Ewa może mnie pokochać. Było duszno. Przed sklepem Rozmaryńskich, gryzły się psy podwórzowe. Przeskoczyłem pomiędzy nimi i wstąpiłem na kwas chlebowy. Szczypał język i podniebienie. Zapłaciłem i zbiegłem po drewnianych schodkach na małą podmokłą łączkę, na której, zza zbitych w masę różowawych dębów, wyłoniły się odrapane domy kolonii Fickiego. Zagubiony pomiędzy nimi, jak łódka pomiędzy okrętami, wyrastał drewniany domek wdowy Muranowej. Po żwirowanym chodniku doszedłem do drucianej siatki. Nacisnąłem dzwonek. W oknie zza żółtej zasłony wychyliła się ciemna główka dziewczynki, a dwa małe kundle rzuciły się oszczekując. Muranową pamiętałem z wizyt, które składałem jej z ciotką, kiedy szyła jej albo Hance sukienki i płaszcze. Miała nie więcej niż czterdzieści lat i troje dzieci. Najstarszy szesnastoletni jeździł do Warszawy, gdzie pracował jako goniec w Urzędzie Skarbowym. Mąż Muranowej w czterdziestym roku został aresztowany w fabryce amunicji w Rembertowie. Muranowa miała pokłute kwadratowe palce, koło samego ciała poobcinane paznokcie, długie, czarne, pozlepiane w kosmyki włosy i cienki, zgrabny nos, który niegdyś musiał być piękny. Otworzyła drzwi do niskiej przechylonej sionki i w przydeptanych pantoflach przyczłapała do furtki.

— Dzień dobry panu. — Pan do mnie?

— Dzień dobry. Do pani i nie do pani — powiedziałem wchodząc do ogrodu.

— Pan może od cioci?

— Nie. Czy zastałem pannę Ewę?

— Ach, Ewę. — Muranowa spojrzała na mnie uważnie. — Ewa jest w swoim pokoiku. Proszę niech pan pozwoli — powiedziała wycierając o fartuch ręce.

Wszedłem po trzech schodkach do małego, ciemnego przedpokoju, w którym synek Muranowej, Janek bujał się na koniu na biegunach. Zastukałem w drzwi do pokoju i nacisnąłem klamkę. Na tapczanie z książką w ręku siedziała Ewa. Miała na sobie ten sam kostium, w którym była rano. Założyła zielonym liściem stronę w książce i powiedziała.

— Pan przyszedł do mnie? O, to bardzo pięknie z pana strony.

— Tak, przepraszam, że przychodzę do domu — zacząłem się jąkać. — Nie mogłem już czekać do wieczora, do spotkania u Tadzika. Pani sprawy bardzo skomplikowały się w P.

— Jakie moje sprawy? Nie chcą mnie przyjąć do pracy w fabryce zabawek? Pan coś o tym słyszał?

— Nie, nie to. Chodzi po prostu o P.

— Nic nie rozumiem. Co pan chce przez to powiedzieć?

— Powinna pani stąd wyjechać jak najszybciej. Najlepiej zaraz. Ma pani w Warszawie przyjaciół?

— Przecież przyjaciół mam i w P.

— Czy Stefana też uważa pani za swego przyjaciela.

— Naturalnie!

Spojrzałem w okno, obserwując małego Janka, który porzucił konia na biegunach i wdrapywał się na białą brzozę

— Niech pani nigdy nie mówi naturalnie. Człowiek często się myli— powiedziałem i zauważyłem, że po raz pierwszy spojrzała na mnie z przestrachem.

— On mówił, że mnie kocha.

— Jakież z pani dziecko. Proszę niech pani zapomni co mówił Stefan i inni. — Ewa spojrzała smutno:

— Pan mówi bardzo niedobrze. Przyjaciół jest bardzo dużo.

— Czy Niemcy są też pani przyjaciółmi? Jeżeli panią zaaresztują, nikt pani nie pomoże.

— Dlaczego zaaresztują? Przecież ja nic złego nie zrobiłam.

— To nieważne co pani im zrobiła. I nie tylko zaaresztują panią, ale i rozstrzelają dzieci i Muranową. Panią mogą zadenuncjować! A dalej to już przecież proste. System.

— Zadenuncjować? Dlaczego? Ja nic nie zrobiłam.

— Dlatego, że pani się ukrywa. Pani jest Żydówką — powiedziałem.

Ewa opadła na lewe ramię, tak, że pozostała w pół leżącej pozycji. Oczy wbiła w błądzące po szklanym żyrandolu czarne, potłuszczone muchy.

— Rozumie pani, panno Ewo — nerwowo skubałem palce — że ja nie oskarżam mieszkańców P. tylko przed nimi ostrzegam. — Do pokoju weszła Muranowa. Musieliśmy wyglądać dziwnie, bo zapytała z przestrachem.

— Co się stało?

— Muszę wyjechać. — Ewa podniosła się z tapczanu. Muszę dzisiaj wyjechać do Warszawy — powtórzyła z naciskiem. Dowiedzieli się, że jestem Żydówką.

— Ależ dziecinko, co ty mówisz?— krzyknęła Muranowa.

— I to zaraz — dodałem — panna Ewa musi wyjść z domu, bo lepiej, żeby nie spotkała się ze Stefanem.

— Widziałem, jak obie kobiety pogrążyły się w tak zwaną niemą rozpacz. O nic więcej nie dopytując się Ewa wstała z tapczanu i mechanicznie zaczęła pakować do teczki szczoteczkę i proszek do zębów, mydło i dzienną bieliznę. Muranowa podeszła do szafy i ukroiła dwie pajdki chleba, które posmarowała masłem.

— Proszę nie obawiać się — powiedziałem— Na razie trzeba uniknąć niebezpieczeństwa, a potem panna Ewa będzie mogła wrócić. Zrobiły panie wielki błąd. Ewa nie powinna pokazywać się na ulicy. U nas ludzie przeważnie wszystkie ciemne kobiety o południowym typie biorą za Żydówki. Nie mają takiej wprawy — zaśmiałem się sztucznie — jak rasiści — Muranowa zawinęła chleb w gazetę i wcisnęła do teczki. Przez cały czas pakowania siedziałem na tapczanie od czasu do czasu przerzucając książkę.

— Kochany panie — podeszła do mnie Muranowa. — Pan się nią zaopiekuje.

— Odwiozę pannę Ewę do Warszawy — powiedziałem. Odsunąłem rękaw marynarki i spojrzałem na zegarek.

— Późno — zwróciłem się do kobiet. — Trzeba już iść.

Muranowa, płacząc otworzyła małe drzwiczki do komórki, w której trzymała węgiel, a potem drugie wyższe do ogródka. Wyszedłem pierwszy, żeby nie być świadkiem pożegnania. Otoczyły mnie obsypane dojrzałymi nasionami krzaki bzów i tak jak w naszym ogródku kwitnąca dzika mimoza. Jak przy każdej nagłej decyzji czułem wzrastający niepokój. Wkroczyłem w życie Ewy, a więc stałem się współodpowiedzialny za dalsze jej losy. Z tej strony domu była druga furtka na ulicę Batorego. Otworzyłem ją cicho i czekałem na Ewę. Po chwili wyszła. Muranowa niosła za nią teczkę. Bez słowa oddała ją przy furtce. Ulica była zupełnie pusta. Gdzieś dalej, na rogu Matejki wolno poruszała się chybotliwa postać kulawego Piotra. Wracał sprzed kościoła, przy którym w każdą niedzielę sprzedawał przechodniom cukierki. Nieśmiało ująłem Ewę pod rękę i pomyślałem, że mogłaby ona ukrywać się u nas. Zrozumiałem jednak, że jest to niemożliwe. Ciotka była znana w rodzinie ze swej ostrożności.

— Chce pan wiedzieć jak mnie wykradli z ghetta? Wynieśli mnie tragarze transportowej firmy w dużej, drewnianej skrzyni, razem z antycznym fotelem. Siedziałam skulona na nim dwa dni bez jedzenia. Wyobraża pan sobie, jak mi smakowała potem odsmażana kiszka i czyste łóżko.

— Ja nigdy w podobnej sytuacji nie byłem. Wyobrażam sobie, o ile potrafię — powiedziałem.

Weszliśmy do parku. Zerwałem kilka gałązek żółtej mimozy i podałem Ewie. Żółte gałązki z drobnymi dzwoneczkami pięknie odbijały się od jej czarnego kostiumu. Do stacji szliśmy wzdłuż wyschniętego rowu. Kozy pasły się na torze kolejowym. Po bilety poszedłem sam. Kupiłem paczkę „Mew" i wróciłem do Ewy. Patrzyła na ostatnie wytryskujące zza barokowego kościoła promienie czerwonego słońca. Pociąg oblepiony handlarzami wjechał wolno na stację. Otworzyłem drzwi i wepchnąłem Ewę do przedziału na wysypane z koszyków rozgniecione czarne jagody. Sam zostałem na stopniach. Rozstałem się z Ewą w małej wąskiej uliczce na Grochowie. Za naszymi plecami świeciła podłużna gazowa latarnia.

Wigilię jak zwykle spędzałem w P. Ciotka z Hanką poszły do kościoła na pasterkę. Uparłem się, że nie pójdę z nimi i zostałem w domu, ale pełna gwiazd, srebrzysta noc wywabiła mnie z pokoju. Poszedłem drogą do parku, a potem w kierunku kościoła. Wierzby bezlistne kurczyły się nad brzegiem jeziorka. Przy płocie kościelnym prychały konie. Pomiędzy wozami kręcili się chłopi z Brzezinek, Białej i Tarminy. Okrążyłem kościół świecący barokowymi okienkami i poszedłem w kierunku kolejowego toru. Powietrze było zimne i czyste. Od kilku dni przejeżdżały przez P. transporty wywożonych do Treblinki Żydów. Dróżnicy i straż kolejowa dostała od żandarmerii niemieckiej rozkaz, żeby natychmiast zawiadomili najbliższy posterunek żandarmerii albo granatowej policji, jeśli na swych odcinkach znajdą Żydów, którzy wyskoczyli z pociągu. Dużo Żydów podnosiło się ze śniegu i szukało schronienia w okolicznych domach. O wiele więcej pozostawało z połamanymi rękoma i nogami na zmrożonym śniegu. Ukradkiem, przemykały się do nich kobieciny wiejskie, żeby podać im trochę ciepłego mleka. Pomoc lekarska dla ciężko rannych była niemożliwa. Leżeli, czekając na gminne furmanki, przy których szli granatowi policjanci. Lekko ranni pomocy nie potrzebowali. Wlekli się przed siebie, ufając szczęściu. Ile razy szedłem na stację po papierosy, drżałem, że znajdę na śniegu Ewę. Znajdywałem inne młode kobiety. Piękne, o wielkich rozszerzonych bólem i strachem oczach, o posiniałych ustach i długich, rozrzuconych na śniegu, bladych palcach. Codziennie rano chodziłem na stację po papierosy i codziennie spotykałem nowe kobiety i nowych mężczyzn.

Doszedłem do białej ostro odcinającej się od nieba figury Matki Boskiej i skręciłem w stronę stacji. Pod moimi nogami iskrzący śnieg uginał się miękko. Włożyłem rękę do kieszeni, żeby wyjąć zapałki i papierosy, kiedy koło telegraficznego słupa usłyszałem przyciszone głosy, a w chwilę później zobaczy-

(Dokończenie na stronie piątej)

ZOFIA DĄBKOWSKA

PEWNA POWIEŚĆ FRANCUSKA

WYCHOWALIŚMY się w znacznej mierze na literaturze francuskiej. Zdawało nam się, że znaliśmy historię kształtowania się i geografię wszystkich zakątków „duszy Zachodu". Gargantua i Pantagruel byli niektórym z nas równie bliscy jak Mikołaj z Nagłowic i nie Wokulski, lecz Castignac poznawał wraz z nami Komedię Ludzką. Otwieramy dziś znów Montaigne'a, Encyklopedystów, Balzaka, Rimbauda i Apollinaire'a, szukamy. Jaki jest rodowód tych, co uważają się dziś na reprezentację Francji? Protoplaści dzisiejszych mieszczan tak różnią się od swych potomków, jak kości mamutów od szkieletów słoni. Aby zrozumieć, musimy zwrócić się do najmłodszej literatury.

Współczesna „dusza Zachodu" wywodzi się zapewne z wielkiej literatury racjonalistycznej i realistycznej, ale przede wszystkim oczywiście z własnych doświadczeń pokolenia drugiej wojny światowej i okupacji. Pewne kategorie tego doświadczenia: bohaterstwo — zdrada; opór — wysługiwanie się okupantowi; poświęcenie — głód, strach, rozczarowanie, rewizja przeszłości—gorączkowe ratowanie tego, co zostało z tradycyj narodowych, a przede wszystkim z własnej sytuacji społecznej; te kategorie i wiele innych są nam dobrze znane. Powstały jednak na Zachodzie pewne pojęcia, pewne formy przystosowania się do okupacyjnego dnia powszedniego, które nas zastanawiają. Aragon opowiada o poczciwej mieszczańskiej parze małżeńskiej, którą poczucie „zwykłej uczciwości", wstręt do zbrodni i przelewu krwi skłonił do wydania Niemcom członka Ruchu Oporu, „zabójcę zza węgła", burzącego **zaistniały nareszcie porządek.** Jest to bądź co bądź niebywały dla Polski temat literacki. Nowym dla nas zjawiskiem byłoby czyste sumienie lojalnych, bezinteresownych kolaboracjonistów z przekonania. Nieznana nam jest psychika tych milionów Francuzów, którzy przeżyli wielką katastrofę na marginesie wydarzeń historycznych, w ciszy swych gabinetów, salonów, kuchen. U nas przecież nawet bogacący się i używający, nawet szumowiny żerujące na trupach żydowskich słuchały radia i czekały chwili, gdy (inni) zaczną wreszcie rżnąć Niemca. Jaka była ewolucja tych z maquis — wiemy. Co myślą, jak się zachowują i jaka przyszłość czeka ongiś pasywnych lub oszołomionych przez mit nordycki?

Leży przede mną wielki tom — 525 stron — „Comme un vol des Gerfauts" Francoise d'Eaubonne. Książka ta, poza szeregiem zalet przykuwających uwagę czytelnika— świeżość i młodzieńcza pasja w portretowaniu postaci pierwszoplanowych, prawdziwość konfliktów u ludzi odtrąconych przez historię, wstręt do mieszczańskiej codzienności, przepych uwodzicielskiej, barbarzyńskiej ornamentyki; poza wadami równie licznymi i ważkimi jak zalety — nieudolność w konstrucwaniu fabuły i akcji, niekonsekwencja w rozwoju postaci drugoplanowych, naiwność elektycznej filozofii...; poza tymi i innymi jeszcze swymi właściwościami, których ciężar gatunkowy byłby może nie wystarczający, aby przyciągnąć uwagę krytyka w Polsce, posiada dla nas tę kapitalną wartość, że może służyć jako swego rodzaju dokument obrazujący rozwój pewnej części młodzieży francuskiej, wychowanej przez okupację.

D'Eaubonne próbuje rozszyfrować psychikę i światopogląd młodych, którzy z Niemcami nie walczyli.

Inteligent na rozdrożu, współczesny „człowiek zbyteczny", postać skomplikowana, chaotyczna, pełna sprzeczności i kompleksów, wystudiowana przez autorkę i obdarzona jej sympatią i wyrozumiałością — oto bohater „Comme un vol des Gerfauts".

Ale nie tylko bohater d'Eaubonne zasługuje na uwagę. Zapatrywania autorki są reprezentatywne dla twórców, którzy zerwali z racjonalistyczną i demokratyczną tradycją zrodzoną we Francji przez wielkie ruchy ludowe XVIII i XIX w.

Opowiadanie d'Eaubonne toczy się na przełomie w. XVI i XVII, miejsce akcji: Anglia, oceany: Atlantycki i Indyjski, Indie. Dawne dzieje, odległy świat. A jednak książka ta, rozwlekła i dziwaczna, pełna sprzeczności a przecież konsekwentna, książka nieudolnych poszukiwań i szczerego, namiętnego niepokoju może być traktowana jako swoisty przyczynek do socjologii **współczesnej** „Drugiej Francji".

Młody malarz holenderski Jan van Sterteen, były marynarz i były aktor, awanturnik francuski Pierre Saint-Benoist, stary Żyd-lichwiarz, medyk i astronom Jakub Keepcyk pod wodzą Anglika Oldhorse'a porzucają stary świat, pogrążony w wojnach religijnych i zamęcie społecznym, by w dali od wspomnień, rozmyślań, konwenansów wyznaniowych i kastowych „znaleźli siebie", „zrealizować siebie poprzez wielki i trwały czyn". W drodze do Indii spotyka ich szereg przygód: zostają jeńcami-gośćmi wytwornego pirata-erudyty, wyznawcy Campanelli i jego utopii, zawiązuje się skomplikowana „zła miłość" między van Sterteenem a piękną niewolnicą pirata, arystokratką hiszpańską Mirabellą, przyjaciele organizują homeryckie boje i ratują się homerycką ucieczką, aż wreszcie po wielu trudach i rozczarowaniach poprzez Kalkutę, rządzoną przez portugalskich mnichów-inkwizytorów, poprzez dwór Wielkiego Mogoła, poprzez dżungle i pustynie, docierają do kraju, w którym zbudowane zostanie królestwo Oldhorse'a. Na lekkie, akwarelowe tło powieści awanturniczej, przetykanej umyślnie konwencjonalnymi motywami starych bajek wschodnich, autorka rzuca ciężkie, z krwi i ciała, na serio potraktowane postaci swych bohaterów. Czwórka awanturników błądzących po świecie w poszukiwaniu „harmonii" i wolności, to nie mieszczanie XVI wieku, to Francuzi, przez hańbę okupacji wytrąceni ze swego racjonalistycznego, pozytywistycznego światopoglądu i uświęconej przez Wielką Rewolucję moralności.

Nietyle fabuła, ile właśnie rysunek charakterów i ładunek namiętności, włożony w opis wewnętrznych dziejów bohaterów, wskazuje na to, że przełomowe lata renesansu posłużyły autorce jedynie jako tło dla zjawisk niedawno przeżytych jeszcze nieopanowanych i bolesnych. Jakaż jest suma doświadczeń wyniesiona z okupacji przez tych, którzy nie brali udziału w walce?

DZIECKO ZBŁĄKANE WE MGLE

WIEK XVI. Przez Europę toczy się fala wojen religijnych. Potokami krwi spływa Flandria, gdzie starcia religijne stały się formą bojów klasowych mieszczaństwa z feudalizmem, a jednocześnie walki wyzwoleńczej przeciw katolickiej Hiszpanii. Były to walki o wyjątkowym rozmachu, „wojny totalne", „na wytępienie", podczas których bogate i kulturalne mieszczaństwo Niderlandów dało przykłady patriotyzmu i uświadomienia klasowego, a hiszpańska inkwizycja zapisała w kronikach współczesnych stronice, które znacznie później stały się natchnieniem Gestapo. Powstanie w Niderlandach pierwsze ukazało światu iluzoryczność potęgi Filipa II.

Jan van Sterteen urodził się w Hadze jako syn flandryjskiego mieszczanina i hiszpańskiej arystokratki. Pochodzenie jednak, tradycje rodzinne, sprzeczne przywiązania, wstręt do przelewu krwi i kontemplacyjne usposobienie, stawiają go poza nawiasem toczącej się walki.

Ani mieszczanin ani arystokrata, ani Flandryjczyk ani Hiszpan, człowiek bez przynależności klasowej i bez ojczyzny, dobrowolny emigrant, pełen chaosu wewnętrznego, nie pozwalającego mu zrozumieć ani siebie, ani tych konfliktów społecznych, których jest biernym świadkiem — van Sterteen darzy równą nienawiścią obie walczące strony.

„Nie wyczyściłbym łożyska swojej arbalety ani dla papieża ani dla Kalwina, gdyż nienawidzę obu, nienawidzę was wszystkich, wszystkich, fałszywi bohaterzy, wielcy patrioci, zabójcy kobiet i dzieci".

Ale ta nienawiść do rzezi, do barbarzyństwa, jest uczuciem skomplikowanym, jest nienawiścią-podziwem impotenta dla ludzi czynu. Zbuntowany przeciwko wszystkiemu i wszystkim, upokorzony przez swą nędzną emigracyjną wegetację, samotny i słaby, Jan van Sterteen, malarz, poeta i filozof-agnostyk marzy o wiedzy absolutnej, o poznaniu rzeczy samej w sobie, o pięknie, przyjaźni, niebywałej awanturze:

„Oto nowe stadium, przeczuwam rzecz samą w sobie, przeczuwam ją — śpiewał mój umysł uwięziony, mój młody, głupi umysł. Solidarność braterska, nieznana przygoda, czyżby to był właśnie ów „sezam" otwierający świat, do którego tęskniłem nieświadomie od czasu rzezi w Hadze i wilgotnych pokoi hotelowych w Londynie? Świat pełen harmonii, gdzie osiągnę sam siebie".

Lump i cygan artystyczny nieświadomie oczekuje siły, która go porwie, natchnie, poprowadzi — oczekuje wodza.

WÓDZ

I OTO w chwili największej rozterki, gdy rozmyślania i wspomnienia doprowadzają van Sterteena niemal do obłędu, w zadymionej, wulgarnej karczmie szekspirowskiej zjawia się ten, który go odtąd twardą ręką poprowadzi do sobie wiadomego, do własnego celu. Już samo zjawienie się Oldhorse'a określa rolę, jaką mu przeznaczyła autorka. W ciemnym wnętrzu karczmy, pełnej pijanych, rozhazardowanych widzów walki koguciej nagle rozwierają się drzwi i we framudze staje młody, jasnowłosy bóg, w marynarskiej koszuli i z workiem podróżnym przewieszonym przez ramię. Cisza zapada w szynku, dziewka karczemna zamiera w niemej adoracji, a van Sterteen olśniony, nagle uszczęśliwiony, pojmuje: „ten albo żaden".

Oldhorse jest przeciwnikiem van Sterteena: natura silna, jednolita, nie znająca walki wewnętrznej, osobistość o jednym jasnym i wyraźnym celu: „być Oldhorse'em, być samym sobą, zrealizować samego siebie w ogromnym i trwałym dziele".

Sama jakość czynu, to, co będzie zrobione, interesuje go mniej. To się okaże później, życie podsunie kierunek działania. W starym świecie, pochłoniętym walkami społecznymi, jednostka obraca się w orbicie swej klasy. Dla Oldhorse'a jedynie rozsądne i logiczne są osiągnięcia osobiste. Syn surowego kowala-protestanta, ex-marynarz, ex-aktor prowincjonalny, Oldhorse zjawia się w książce już z powziętym postanowieniem, udania się do Nowego Świata, do bajecznych, oczekujących zdobywcy Indii. Porywa van Sterteena obietnicą, że i on będzie mógł w tym jego wielkim czynie znaleźć, zrealizować, scementować siebie.

Kult czynu dla czynu, wyżycia się w działaniu, którego jedynym celem jest utwierdzenie własnej woli; miraż jasnowłosego pięknego zdobywcy, pana i władcy, rzucającego na służących mu „byłych ludzi" odblaski swej chwały, wiodącego ich na ziemie tuczne, pełne skarbów niezmiernych i ludów zrodzonych dla niewoli; marzenie, które lumpom i degeneratom dawało wizję panowania i tysiącokrotnie wzmożone poczucie swej wartości — dochodzi do głosu w powieści młodej francuskiej pisarki.

Czego chciał, czego uczył Oldhorse i jaka była jego filozofia?

Chciał przede wszystkim być sobą, Oldhorse'em. Un point c'est tout. A to znaczyło odważnie, rozsądnie, z żelazną wytrwałością, zdobywać władzę.

Na drodze awantury Oldhorse spotyka szereg marzycieli - utopistów i anarchizujących świętych; odnosi się do nich poważnie i z należytym szacunkiem, ale ani na krok nie zbacza z własnej drogi. Owszem, nauki esseńczyków, pierwszych chrześcijan, i Campanelli o wspólnocie dóbr przekuwają jego uwagę. Uwspółcześniając ten komunizm pierwotny, ma nawet zamiar w swym przyszłym królestwie uspołecznić środki produkcji. W miarę jednak, jak plany podboju urzeczywistniają się — troski reformatorskie schodzą coraz bardziej na plan dalszy. Z luźnych i nieobowiązujących marzeń o szczęśliwym mieście wojskowych, wielki amfiteatr na centralnym placu i pewien udział w łupach dla żołdaków i ex-niewolników, poddanych Oldhorse'a.

O tym, jak mieszczanin typu d'Eaubonne wyobraża sobie stosunek Wodza do teorii społecznych, najlepiej świadczy szeroko rozbudowany epizod z Cigalą.

Cigala — książę, pirat, wytworny nieszczęśliwy kochanek, tajemniczy uczestnik spisku Campanelli, oto jak barwnie (i nierealnie) wyobraża sobie autorka rewolucjonistę owych lat. Postać reformatora społecznego musiała być bardzo obca d'Eaubonne, skoro skonstruowała ją z kilku przypadkowo sklejonych bajek wschodnich. A naprzeciw tego pięknego, lecz rozhisteryzowanego i nie trzymającego się kupy na wpół zbrodniarza — na wpół bohatera (po upadku spisku Campanelli Cigala ginie śmiercią męczeńską) — blok granit Oldhorse'a. Wyższość „żelaznej logiki", indywidualnego wyżycia się we władzy nad „mętnym marzeniem" komunistów jest w ten sposób dowiedziona poglądowo. Rzecz jasna, że w końcu Oldhorse narzuca swoją wolę Cigali, skłania go do posłuchu i wymusza na nim szacunek i miłość.

Ciekawy jest następujący fragment wielkich dysput teoretycznych między przyjaciółmi - antagonistami:

Cigala: Jestem pesymistą, gdy chodzi o historię ludzkości, ale natura ludzka budzi we mnie głęboki optymizm.

Oldhorse: Co do mnie, mam właśnie wręcz odwrotne zdanie.

Oczywiście rewolucjonista Cigala, wierzący w szlachetność natury ludzkiej, nie mówi o przyszłości, a tylko o minionych i współczesnych dziejach. Pesymizm jego oznacza pewność przewrotu, który położy kres starej historii walk klasowych, historii gwałtów zadawanych słabym. Wódz Oldhorse widzi w przeszłości tylko normalną, od wieków ustaloną i niewzruszalną kolej rzeczy i nie wierzy, by człowiek, istota słaba i godna wzgardy, mógł coś w porządku świata zmienić.

Tych kilka słów, może nawet wbrew intencji autorki, demaskuje reakcyjność i cynizm Wodza.

Filozofii Oldhorse nie wyznaje żadnej, a wszelkie próby oderwania jego uwagi od czynu nazywa „metafizyką".

Skondensowana energia ludzka, Oldhorse, jest zamkniętą w sobie całością. Jest poza złem, poza dobrem, nawet poza rozumem i poza nauką. Die blonde Bestie?

Od filozofii Oldhorse ma Saint-Benoista.

Kimże jest przyboczny filozof? Francuz Pierre Saint-Benoist, syn bogatego mieszczanina lyońskiego, brał przez wiele lat udział w wojnach religijnych we Francji w szeregach armii katolickich, wreszcie obrzydziwszy sobie to rzemiosło, zostaje marynarzem, potem aktorem. Jest więc, jak dwoje pozostałych przyjaciół, wyłączony z ówczesnego społeczeństwa. Wspaniale zdrowy i jurny, wielostronnie wykształcony i oczytany, ateista i cynik, St. Benoist jest wcieleniem tego typu renesansowego knechta, dla którego ideałem był włoski Caesar Borgia.

Najistotniejsze momenty jego światopoglądu są streszczone w następującym dialogu:

Saint-Benoist: Prawda ma tylko tę wartość, że jest drogą wiodącą naprzód, nagromadzeniem zwycięstw.

Van Sterteen: Czy sądzisz, że ta... legenda o Państwie Słońca (utopia Campanelli) może posunąć naprzód prawdę?

Saint-Benoist: Jakąż prawdą może być legenda o idealnym grodzie, który jakiegoś tam poranka wybudują niewolnicy?

Van Sterteen: Nie wiem... Prawdą o świecie bardziej sprawiedliwym.

Saint-Benoist: ... Sprawiedliwość na tej ziemi jest sztuką, a nie prawdą... (A sztuka) to umiejętne stosowanie kłamstwa. Sztuka rządzenia ludźmi, sztuka pisania poematów, wszystko polega na kłamstwie.

Van Sterteen: A sztuka uprawiania miłości?...

Saint-Benoist: O! To jedno tylko nie może opierać się na oszustwie...

A więc wyrzeczenie się wszelkiej prawdy obiektywnej poza prawdą aktu płciowego i uznanie relatywizmu wszelkich zasad moralnych.

(Dokończenie na stronie czwartej)

ZŁOTNICY

(Dokończenie ze strony czwartej)

łem przyćmione światło latarki. W ukośnie padającym blasku dojrzałem trzy pochylone nad ciemną plamą postaci. Wyglądały jak omotane chustkami kobiety wiejskie. Już chciałem zapalić papierosa i iść dalej, gdy usłyszałem przytłumiony głos „Ciąg mocno, nie bój słę". Schowałem zapałki do kieszeni i przylgnąłem do telegraficznego słupa. Obraz, który obserwowałem oddalony był ode mnie o jakieś dwadzieścia metrów. Często z parowozu chłopcy zrzucali węgiel. Robili to przeważnie w nocy, kiedy czujność straży kolejowej była minimalna. Przypuszczałem, że trzy pochylone nad ciemną plamą postaci, to właśnie nocni węglarze. Zaopatrywali oni P. jak zresztą wszystkie inne podmiejskie osiedla w wyrzucany z parowozów węgiel. Odważni, bogaci w przygody, nie ceniący swojego życia, obdarci, brudni, czternasto-, trzynasto- i dwunastoletni, pijani, palący papierosy, grający w karty, przeklinający wszystkimi najbardziej wyrafinowanymi wyrazami, byli tymi dziećmi, których wychować może tylko nędza i wojna. Zawsze podziwiałem ich odwagę, kiedy z wielkim hakiem przypiętym do strażackiego pasa szybko jak charty biegli koło pędzącego towarowego pociągu, żeby w pewnym momencie zarzucić hak na wystającą żelazną rączkę i wciągnąć się na drewniany stopień wagonu. Wyrzucali oni z niemieckich wojskowych transportów masło, skóry, mundury i obuwie. Nie tylko kradli dla siebie, po swojemu sabotowali faszyzm.

Drugi z klęczących zapalił latarkę i zobaczyłem, że plama, nad którą byli pochyleni nie jest bryłą węgla. Dochodziły do mnie rytmiczne przygłuszone uderzenia, po których wszyscy pochylali się razem do przodu. Przypomniały mi się słowa ciotki i uczułem jak skóra pod włosami zrobiła się strasznie gorąca. Dwa dni przed świętami Bożego Narodzenia, o świcie śpieszący na stację robotnicy, znaleźli koło toru kolejowego dwie młode Żydówki z grubymi, wbitymi pomiędzy nogi, kołkami. Opowiadano sobie, że podobny wypadek miał miejsce koło. T., gdzie w ten sposób zabawiali się granatowi, pijani policjanci. Przerażony, że przede mną może leży Ewa z głośnym krzykiem rzuciłem się, bełkocząc po niemiecku niezrozumiałe dla mnie samego słowa. Pośliznąłem się na wystającej spod śniegu żelaznej szynie i wpadłem do rowu. Kiedy po chwili wygramoliłem się z puszystej zaspy, zobaczyłem pomykające przed siebie trzy skulone postaci. Wolno, ostrożnie podszedłem do podłużnego kształtu. Gwiazdy oświetlały mi drogę, ale pomimo to trzęsącą się ręką zapaliłem zapałkę.

Przede mną leżała kobieta w seledynowej porwanej jesionce. Z poranionych ust na lewą stronę, na którą była przechylona głowa, spływała różowa krew. Żyła. Uklęknąłem przed nią i twarz jej umyłem grudką czystego śniegu. Zapaliłem drugą zapałkę. Przesunąłem światło wzdłuż całego tułowia. Na piersi leżał błyszczący, maleńki złoty ząb. Dopiero, gdy zgasła zapałka zrozumiałem. To nie była Ewa.

Jerzy Grygolunas

GUILLAUME APOLLINAIRE przełożył ADAM WAŻYK

NOC KWIETNIOWA 1915

Na niebie rozgwieździły się Boszów granaty
Las cudowny wydaje bal nad moją głową
Mitralieza w szesnastkach gwiżdże nam kantaty
Ale czy znacie rozkaz to fatalne słowo
Do strzelnic Och do strzelnic Porzucać łopaty

Dzwonią na alarm Biegiem do ziemnianek Kryć się
Gwizdałeś piosnkę serce rozprysły granacie
Nie jestem nigdy sam i dwie mam ładownice
Bogowie moich oczu milcząc uciekacie
My wciąż kochamy życie i drażnimy życie

Pociski biegły miaucząc miłość aż do zgonu
Słodsza od innych miłość odchodzi najwcześniej
To deszcz pastuszko deszcz osiada krwią stężoną
Pociski biegły miaucząc Słuchaj naszej pieśni
Krwawa miłości ginąc oddają ci honor

Wiosna rozmiękła w błocie Czuwaj przed atakiem
To deszcz to zmarłych oczu pada deszcz kochanie
Ileż dni Ulissesie nim ujrzysz Itakę
Obmyślaj piękną skruchę by na powitanie
Ten czysty twór fantazji był afrodyzjakiem

Piszę do ciebie Lou i pod darniną naszą
Drży dziewięć męskich serc z miłości i nadziei
Działa wyrzucają pociski po kolei
Słyszę o moja Lou jak jęczy las bez ptasząt

(Wersja ze zbioru „L'Ombre de mon Amour")

NA POŁUDNIE

Zenit
Cały ten żal
I te ogrody wszędzie
Żaba tu moduluje czuły pokrzyk nieba
Łania ciszy spłoszonej znika w bystrym pędzie
Słowik w męce miłosnej na różanym śpiewa
Krzaku twojego ciała gdzie zrywałem róże
Nasze serca kołyszą się na pniu granatu
Po drodze w naszych oczach rozkwitłe i duże
Spadały z pnia ścielące się kielichy kwiatu

U C Z T A

O te sztuczne ognie ze stali
Jakież to oświetlenie piękne
Kwatermistrz po mistrzowsku pali
I zaprawia odwagę wdzięcznem

Dwie różowe świecące kule
Kobiece piersi spod agrafki
Wyjrzały bezczelnie i czule
Nagrobek ON KOCHAĆ POTRAFIŁ

W oświetlonym lesie poeta
Leżąc ogląda obojętnie
Z odbezpieczonym pistoletem
Różę która z nadziei więdnie

Myśli jakie róże miał Sadi
I skłania głowę niespodzianie
Bo róża mu szeptem sprowadzi
Miękkiego biodra falowanie

W powietrzu jest alkohol mocny
Wyciąg gwiazd pączkowych aż nużу
Pociski sieją zapach nocny
Gdzie do snu się oko twe mruży
Pośmiertny rozpad róży

TEATR • TEATR • TEATR • TEATR • TEATR • TEATR • TEATR • TEATR

EDWARD CSATO

Krzyżacy w perspektywie hitleryzmu

1

Mniej więcej w czerwcu stwierdził min. Sokorski w kilku publicznych wywiadach, że obecny sezon będzie cechować pewna specjalizacja warszawskich teatrów; w jej ramach Teatrowi Polskiemu miał być powierzony przede wszystkim repertuar klasyczny. Nie byłbym wcale zwolennikiem zbyt radykalnej interpretacji tego oświadczenia, takiej, która skazywałaby na banicję wszelkie współczesne utwory, może bowiem znajdzie się kiedy wśród nich jakiś, któremu nie bez podstaw zechcemy przypisać zadatki długowieczności; nie sądzę również, aby zadatków takich nie można było odkryć w sztuce z gatunku tych, które nazywamy popularnymi widowiskami ludowymi. Wydaje się jednak, że wystawienie „Zakonu Krzyżowego“ Morstina w Teatrze Polskim jest poważnym błędem repertuarowym, błędem trudniejszym do pojęcia w świetle owych enuncjacji Ministerstwa i wypowiedzi dyrekcji na konferencjach prasowych.

Morstin jest znakomitym pisarzem, którego kultura języka zawsze jeszcze pozwoli nam odkryć nawet w mniej udałych dziełach fragmenty świeże i pełne uroku, a którego opanowanie techniki scenicznej może być wzorem dla większości naszych młodszych dramatopisarzy. Nie wystarczy tego jednak, by inscenizacji „Zakonu Krzyżackiego“ podejmował się teatr, predystynowany w opinii ogółu do odegrania roli pierwszej polskiej sceny — pierwszej, a więc niejako reprezentacyjnej, wzorowej, dającej przykład zarówno pod względem artystycznym jak i ideologicznym. Gorzej — w takich warunkach ów przykład tworzy się sam, jakoś automatycznie, nawet bez świadomego zamierzenia teatru. Nie mieliśmy dotychczas po wojnie tzw. ludowego widowiska. Zjawia się wreszcie; gdyby wystawiła je jakaś dobra scena prowincjonalna, mówilibyśmy o eksperymencie, toczylibyśmy dyskusje, ucząc się na błędach tego, który odważył się być odważnym, oddając mu przy tym całą należną zasługę.... Jeśli ten sam utwór wystawił Teatr Polski, wówczas krytyka może sobie wyszukiwać błędy, kręcić głową i ganić, a jednak dzieło otrzyma patent czegoś bardzo ważnego i razem z wszystkimi mankamentami stanie się wzorem. Ostatecznie — myśli wówczas prowincja — z Teatru Polskiego do Ministerstwa Kultury i Sztuki jest tak bliziutko... Dlatego zbyt pochopny wybór w takich warunkach zamiast dostarczyć autorowi satysfakcji, przeważnie wyrządza mu krzywdę.

2

Utwór Morstina składa się z dwu właściwie zupełnie odrębnych sztuk, przedzielonych najmniej udałym epizodem pogodzenia się Witolda z Jagiełłą i spiętych końcową sceną sądu bojarów, stawiającą dokładne czasem zbyt dokładne akcenty ideologiczne. Treścią „pierwszej sztuki“ są dzieje przejścia Witolda z obozu Krzyżaków do obozu polskiego, spalenia krzyżackich twierdz na Żmudzi i odesłania pod strażą szczupłej drużyny rycerzy krzyżowych do Marienburga. Pośrednikiem między Jagiełłą a Witoldem jest książę Henryk Mazowiecki, podejmujący się swojej misji częściowo ze względów osobistych, dla zobaczenia siostry Witolda Ryngałły, którą kocha. Krzyżacy przysięgają mu zemstę. Ta część utworu dzieje się na tle surowych baszt Kowna i Marienburga, w łunach pożarów i mrokach izb zamkowych, w których Krzyżacy toczą swoje narady. Każdy obraz szybko posuwa akcję, operuje gromadami ludzkimi, poszczególne postaci charakteryzuje zwięźle i dosadnie, techniką dobrze dobraną dla popularnego widowiska. Po czwartym obrazie, odsuwając cisnące się zastrzeżenia natury bardziej ogólnej — ideologicznej, historycznej, artystycznej — jesteśmy zaciekawieni samą fabułą. Poznaliśmy kilka sugestywnie naszkicowanych postaci, przede wszystkim Witolda i mistrza Zakonu, Konrada Wallenroda. O mistrzu tym najpierw słyszymy plotki, że nie jest rycerzem, za którego się podaje; jego przemówienie na radzie komturów, tak kontrastujące z otoczeniem, uczciwe, namiętne, lecz nie pozbawione zagadkowych akcentów zastanawia: czyżby nowa wersja mickiewiczowskiego Wallenroda?

Scena pojednania się Witolda z Jagiełłą rozczarowuje, ale jedynie sama sobą, papierową postacią Jadwigi, tym, że niczego do akcji nie dodaje; rozczarowuje, ale nie płoszy oczekiwania. Przeciwnie, zwiększa je jeszcze. Poznajemy nowe postaci z obozu polskiego, słyszymy i tam zapowiedzi zbrojnego konfliktu z Zakonem. Tymczasem następne sceny utopione są w atmosferze całkiem odmiennej, napisane zupełnie inną techniką i mówią o zgoła różnych sprawach. Zajmują się dziejami zemsty krzyżackiej na szczęśliwej parze małżonków, Henryku Mazowieckim i Ryngalle. Zemsta jest prosta: przebrany za pątnika wysłannik mnichów sprzedaje zabobonnej księżnej truciznę jako cudowny lek, mający jej zapewnić miłość męża, i o ile dobrze zrozumiałem, jego obfite pieszczoty. Henryk umiera otruty ręką własnej żony w pierwszą rocznicę ślubu. Te dwie sceny to teatr całkiem kameralny — subtelności dialogowe, wyznania miłosne, szczegółowe malowanie charakterów.

Ostatnia scena sądu nad Ryngałłą zmienia się w generalne oskarżenie Krzyżaków, staje się trybuną, z której padają polityczne analizy i jeszcze jedna zapowiedź wojny. Koniec. A gdzież podziały się sprawy z wątku pierwszego? Nie usłyszycie już o nich nic zgoła, i może się wam zdarzyć, że jak mnie dzisiaj, spać wam nie dadzą te niedokończone postaci zbrodniczych mnichów, dopraszające się jakiegoś dopełnienia

3

Pomysł sztuki o okrucieństwach krzyżackich zjawia się całkiem naturalnie w środowisku, które poznało bestialstwa hitleryzmu. Naturalne są również analogie. Możemy być pewni, że pojawiłyby się u widza nawet wtedy, gdyby nie padały tak sprecyzowane ze sceny. Natomiast ich zbytnia wyraźność, chęć dokładnego wypowiedzenia ich w samym utworze, niesłychanie komplikuje sprawę, stwarza trudności, które w pewnym momencie stają się nie do zwalczenia, rodzą błędy ideologiczne i artystyczne Powie ktoś, że w widowisku popularnym wszystko musi być powiedziane jak najbardziej dobitnie Nieprawda. Wiadomości o ludziach o zdarzeniach — tak, ale nie sprawy apelujące jedynie do naszych uczuć, nie analogie i porównania, bo właśnie ich dosłowne traktowanie przez masową widownię wykrzywi cały obraz historyczny, przeinaczy perspektywy, zafałszuje prawdę.



Scena z pierwszego obrazu „Zakonu Krzyżowego“. (Od lewej: Jerzy Pichelski, Saturnin Butkiewicz, Fran ciszek Dominiak)

Na analogie takie może sobie pozwolić raczej teatr intelektualny w typie Shawa lub Giraudoux albo „Obrony Ksantypy“ tegoż Morstina, gdzie widz bez trudu odróżni, co jest poważnym porównaniem, a co przenośnią, aluzją, dowcipem. W „Zakonie krzyżowym“ z samego założenia wszystko brzmi poważnie, dlatego tym bardziej mylą owe perspektywy narzucone autorowi przez wspomnienia walki z hitleryzmem. Fałszywa jest np. postać Witolda, gdy w niektórych momentach staje się on jak gdyby reprezentantem ludowych interesów Słowiańszczyzny, podczas gdy wiemy z historii, że motywy jego decyzji politycznych były zgoła inne. U Morstina Witold raz po raz wychyla się ze współczesnego sobie obrazu, w którym nie istniało jeszcze poczucie narodowe, w którym o polityce władców decydowały względy dynastyczne, skomplikowane jedynie interesami popierających księcia bojarów; wychyla się; aby niespodziewanie znalazłszy się w naszym wieku... wygłosić przemówienie propagandowe. W ogóle taka dbałość o ustawiczne aktualizowanie historii musi niektórym powiedzeniom nadawać smak publicystyki, a postaci deformować w kierunku niepotrzebnej, niezamierzonej marionetkowości.

Historia bowiem nie jest nieruchomym martwym jeziorem, ani też kołem młyńskim, które co jakiś czas ukazuje naszym oczom ten sam wycinek. Agresje hitleryzmu nie były powtórzeniem feudalnej zaborczości Zakonu Krzyżowego.

Powierzchowne i czysto formalne analogie historyczne rodzą antyhistoryczne wnioski dezorientujące przeciętnego widza swą pozorną trafnością i wikłające go w sidła jakiejś metafizycznej historiozofii, która antagonizm wyrosły między narodami zawsze z konkretnych warunków dziejowych — ujmuje w wiekuiste, niezmienne kategorie.

4

Tzw. widowisko ludowe musi być popularne i dostępne, operować jasno nakreśloną akcją, wyraźnymi charakterami i sytuacjami i nie może zbyt często odwoływać się do wiadomości z zakresu tzw. ogólnego wykształcenia. Niemniej musi ono — i w tym jest chyba największa trudność — ukazać prawdziwy historycznie obraz danej epoki, rzeczywiste stosunki panujące wówczas w ludzkim świecie; a wreszcie posługując się łatwymi i sugestywnymi środkami wyrazu, unikać musi powierzchownej „sztampy“, która grozi mu znacznie bardziej, niż ongiś Krzyżacy dzielnemu królowi Jagielle. Historyczność polega bowiem na tym, aby ukazać prawdę minionych lat, a nie ich egzotykę. Niestety, inscenizacji w Teatrze Polskim nie udało się uniknąć tego niebezpieczeństwa. Co prawda, w tekście utworu sporo było zakrętów zbyt może trudnych; ale często nawet i tam, gdzie ostateczny wyraz zależał od rozwiązania inscenizacyjnego, gdzie na przykład zmniejszenie patosu, ograniczenie gwałtowności ruchu, uszczuplenie wybujałego gestu mogłoby uratować sytuację, nawet tam owe rozwiązania zawodziły. Reżyser **Warnecki**, który w poprzednim sezonie miał do zanotowania kilka naprawdę wybitnych osiągnięć inscenizatorsko - reżyserskich tym razem pochwalić się może jedynie kilkoma ładnymi kolorystycznie obrazami; całość jednak wymykała mu się z rąk, zamiast autentycznego życia historycznej epoki ukazując nazbyt często płachty papieru, zamalowane patriotyczną Styką.

Spośród ról aktorskich największe zainteresowanie budzą osiągnięcia **Andryczówny** (Ryngałła) i **Mileckiego** (Witold). Andryczówna jak zwykle bardzo dosadnie ekspresyjna, w pierwszej scenie razi zbytnim nieco patosem, ale to już nie tylko jej wina; świetna jest zato w kameralnej części sztuki na dworze księcia Henryka. Milecki zwraca uwagę ekonomią dobrze dobranych, mocnych środków wyrazu, które pozwalają nadać postaci Witolda wyrazistość i konsekwencję.

Trafne szkice postaci (w tej sztuce większość ról z konieczności musi pozostać w sferze szkicu) nakreślili **Bracki, Buszyński, Dominiak, Kalinowski i Pichelski. Strońska** w roli duńskiej królowej miała potrzebną dozę religijnej nadgorliwości, lecz chyba za mało majestatu; co prawda cała scena przed kościołem nie robi właściwego wrażenia wskutek ściśnięcia orszaku i mnichów na wąziutkiej przestrzeni. **Butkiewicz** jako lubieżny mnich Szumberg nadużywał środków ekspresji, co postaci tej nadawało charakter już zbyt „popularny“.

Dekoracje **Borowskiego** niezbyt udałe.

Poza tym wydaje mi się, że nawet w teatrze nie należy się bawić z ogniem.

Edward Csato



Ewa Szelburg Zarembina w dwudziestopięciolecie swej pracy literackiej otrzymała nagrodę miasta Warszawy za swą twórczość dla dzieci.

BOGDAN BUTRYŃCZUK

SZEKSPIR, SHAW I... AMERY—KANIN NA ŚLĄSKU

ZMIANY organizacyjne wprowadzone z początkiem bieżącego sezonu w życie teatralne Górnego Śląska, Zagłębia i Opolszczyzny, polegające na upaństwowieniu czterech scen tego okręgu i oddaniu ich pod wspólną dyrekcję wydobyły nowe możliwoci rozwiązania „problemu teatralnego“ w Polsce, nieśmiało przezwyciężającego narowy drobnomieszczańskiej tradycji. O słuszności obranej drogi świadczą przede wszystkim cyfry, ilustrujące zestawienie najtańszych przedstawień, organizowanych dla ludzi pracy, zrzeszonych w Związkach Zawodowych poszczególnych gałęzi przemysłu. Trudno uwierzyć, ale sytuacja ukształtowała się w ten sposób, że teatr katowicki nie może podołać zamówieniom, ani znaleźć miejsca w układzie programu na przedstawienia „otwarte“.

W sążnistych artykułach i ankietach zapominano przeważnie, że teatr to nie tylko scena, lecz **scena i widownia**, której charakter klasowy, wyrażający się w jakości gustów, przyzwyczajeń, tradycji, przesądów itp. kształtował lub wpływał decydująco na kształtowanie się oblicza tego najbardziej uległego, bo krystalizującego się na oczach widza (który płaci, może nie przyjść lub przyjść i każdej chwili zacząć np. gwizdać) dzieła sztuki. Rzecz jasna, że ten pierwszy, niemal eksperymentalny krok wskazał zaledwie kierunek, pozostawiając wyraz artystyczny dalszym poszukiwaniom i prawom naturalnego rozwoju.

Przejdźmy teraz na scenę Państwowych Teatrów Śląsko-Dąbrowskich. Po nieco zbyt długiej przerwie dano niemal równocześnie, w jednym tygodniu, aż trzy premiery: Szekspir, Shaw i nieszczególnie prezentujący się w tym czcigodnym towarzystwie postępowy pisarz amerykański Garson Kanin z niekończącej się widocznie serii przekładów Ryszarda Ordyńskiego. Chciałoby się westchnąć: Quo usque tandem abutere...

„Jak wam się podoba“

Szekspir zajął w tym gronie pozycję reprezentacyjną, toteż oddano mu dużą scenę w Katowicach. I jakże nie miał zająć takiej pozycji, skoro wreszcie, po kilkuletnich wahaniach, nawet Shaw „puścił go przodem“, uznając jego wielkość. Któż inny zresztą umiałby ubogą fabułę „Rozalindy“ Lodge'a przerobić z tak beztroską niekonsekwencją na czarującą sielankę? I jeszcze zapytać w tytule, mrużąc figlarnie oko, „jak wam się podoba?“

Owa beztroska nie udzieliła się wprawdzie komedii w takim stopniu, jak to obserwujemy w „Wieczorze trzech króli“ (choć niekonsekwencji jest tu dużo więcej): smutna atmosfera pałacowych powikłań zaciążyła nad całością, zabarwiając ją tonem kontemplacji i delikatnego szyderstwa. Ale w tym tonie, w tym niejako satyrycznym nurcie komedii, kryje się wyraźna wskazówka inscenizacyjna, ostrzegająca przed braniem tego wszystkiego à la lettre. Serio jest tylko poezja, ukazująca wszystkie refleksy barw mijającego w tym bajecznym lesie Ardeńskim czasu — Stoneleigh in Arden, przeniesiony poetyckim słowem z okolic Warwickshire nad Avonem do „Globe'u, nad którego drzwiami, niby prowokacyjny komentarz, widniał napis: **„Totus mundus agit histrionem“**.

A dalej: Jakub-melancholik, który podobno jest personifikacją Szekspira, czyż nie kontynuuje tej postawy, jakby chciał raz jeszcze zwrócić uwagę przyszłych realizatorów:

Cały świat to teatr,
Wszyscy mężczyźni i wszystkie [kobiety
Są aktorami — wchodzą [i znikają...
I różne człowiek gra kolejne [role
W siedmioaktowej sztuce swego [życia...

Albo tak chętnie stosowana przez Szekspira maskarada, mająca na celu ukrycie płci bohaterów sztuki. Prowadzi ona do niezwykle dramatycznych igraszek uczuciami, o to w taki sposób, jakby te „nieprawdopodobne prawdopodobieństwa“ życia odbywały się nie na scenie, podporządkowanej określonym prawom swej epoki, lecz w jakiejś latarni magicznej. Czyż nie przemawia to za uznaniem szeroko pojętej, odpowiednio przestylizowanej, konwencji szekspirowskiego teatru?

* * *

Zatrzymałem się przy interpretacji tego właśnie szczegółu tekstu, ponieważ wydaje mi się dość ważny, zaś reżyser i inscenizator komedii **Władysław Krasnowiecki** jakby zapomniał o nim, mimo, że wygłaszał przytoczoną wyżej zasadę, będąc sam odtwórcą roli Jakuba. Przyznaję, spektakl był jednolity, ale postawiony w niewłaściwych wymiarach. Wszystko było tak poważne, że w końcu chciało się kląć tego durnia Orlanda, przebaczającego najcięższe krzywdy, wyrządzone mu przez drani spod ciemnej gwiazdy (jak pokazano ich charakter), a Szekspira, że ich nie uśmiercił. Pierwszy akt posiadał scenerię tragedii szekspirowskiej, a przyćmione wnętrze murów pałacowych wyraźnie utrudniało rozwiązania sytuacyjne. A cóż za gratkę stanowi wejście dworu, samo układające się w obraz żywych barw i postaci. Nie sposób jednak wyświetlać go na murze.

Dekoracja lasu natomiast udała się **Zenobiuszowi Strzeleckiemu** jak rzadko: była wyrazem poetyckiej wyobraźni w barwie i kompozycji Korzystał z niej też reżyser, choć czynił to zbyt ostrożnie; jakby bał się zboczyć z obranej w pierwszym akcie postawy. Ale tu dopiero, dzięki inwencji reżysera nastąpiło częściowe przynajmniej zespolenie elementu malarskiego z muzycznym i mimicznym. Cóż jednak poradzimy na to, skoro zawiodła muzyka, którą **Witold Krzemieński** skomponował tak, jakby nie czytał sztuki. Użyta jako podkład muzyczny dla liryki zdarzeń i ilustracja poetyckiego słowa brzmiała dyskretnie i spełniała swoją rolę, nie umiała jednak poprowadzić akcji w scenach, wymagających jej bezpośredniej ingerencji. Dlatego nie wyszedł „taniec rogaczy“, stanowiący udramatyzowanie autentycznego obyczaju ludowego z Abbots Bromley, dlatego zostaliśmy pozbawieni jeszcze jednego występu, bogatego w doświadczenie choreograficzne **Tacjanny Wysockiej**, dlatego wreszcie tak smutnie pobrzękiwał dzwoneczkami błazen Probierczyk, jakby dopominał się pomocy orkiestry.

* * *

„Jak wam się podoba“ wykonał młody przeważnie, w kilku wypadkach debiutujący zespół aktorski, toteż nie należy się dziwić, że Szekspir dał aktorom bez porównania więcej, niż oni Szekspirowi. Teatr obdzielający jednym zespołem równocześnie trzy warsztaty, nie jest w stanie — rzecz jasna — obsadzić idealnie żadnej ze sztuk, gdyż każdej musi dać na okrasę nazwisko aktorskie, gwarantujące częściową chociaż realizację założeń artystycznych. Dlatego nie można szczędzić słów uznania dla pracowitości i istotnych osiągnięć zespołu, ale na przedstawienie budzące entuzjazm, takie jak np. „Jegor Bułyczow“ trzeba czekać długo, gdyż unieruchomiłoby ono pozostałe dwie sceny, zabierając najlepszych aktorów.

Rozalindę ładnie zagrała **Irena Krasnowiecka**, może tylko zbyt poważnie traktowała swoją maskaradę. Przebranie nie powinno pociągać za sobą w tym wypadku konsekwencji psychicznego przeobrażenia. Więcej zastrzeżeń budzi Celia, w interpretacji **Krystyny Mieciknówny**, która nie posiadając jeszcze opanowanych środków technicznych gry, mimo talentu, wpada w niebezpieczny dla młodej aktorki szablon. **Maria Pawluśkiewicz** z zamaszystym temperamentem wydobyła komizm i charakter ludowy Audrey. Orlando, najbardziej niekonsekwentnie zbudowana postać komedii, wyposażony został przez **Jana Żardeckiego** we wszystkie cechy niekłamanej młodości i wzbogacony niezdyscyplinowanym wprawdzie, ale bezsprzecznym talentem tego aktora. Gdyby **Marian Jastrzębski** mógł wrócić do lat Żardeckiego przy zachowaniu swojego doświadczenia scenicznego, wówczas Probierczyk znalazłby idealnego odtwórcę. Bardzo szlachetny akcent wniósł do komedii **Roman Hierowski** jako wygnany książę, wreszcie **Józef Nowak** w drobnej, ale pełnej wyrazu rólce Amiens, dworzanina wygnanego księcia oraz **Adam Kwiatkowski** w świetnym, najbardziej może wiernym Szekspirowi epizodzie chłopca wiejskiego Wiliama.

* * *

Największą zdobycz artystyczną, która przejdzie na własność naszej kultury stanowi piękny przekład **Czesława Miłosza**.

G B S. „Szczygli zaułek“

„Mała Scena“ pewnie najmniejsza w Polsce, zainaugurowała spóźniony sezon sztuką Shawa „Szczygli zaułek“ (Widower's Huses). 57 lat dzieli nas od chwili jej napisania (1892 r.), a zaatakowany z typową dla autora „Pygmaliona“ pasją problem, chociaż inaczej dziś wygląda w świetle społecznych przeobrażeń, wydaje się niezmiennie aktualny i żywy. Proporcje nadane komedii łączą się ściśle z ówczesną postawą Shawa, członka „Fabian Society“ i rewolucyjnego mówcy Hyde Parku. Tematem sztuki jest wyzysk proletariatu przez potężniejący kapitał, wyzysk, którego jedną z najdrastyczniejszych form były u schyłku XIX w. „slumsy“ prymitywne, urągające wszelkim zasadom moralności ludzkiej domy dla biedoty. Domy te były „złotodajną żyłą“ dla ich właścicieli i udziałowców, którzy przerzucali się wkrótce — wynika to jasno z treści — w afery handlowe wykraczające daleko poza interesy jednej dzielnicy czy miasta, sięgną po wpływy na bieg przemysłowej polityki kraju, a później spotkają się przy zielonych stolikach, aby przeliczyć zyski wyniesione z pól naftowych i bitewnych. Shaw pokazał w „Szczyglim zaułku“ zróżnicowane społecznie środowisko drobnych jeszcze wyzyskiwaczy, a chociaż nie dał im ani jednej pozytywnej cechy, byli to ludzie prawdziwi, najzupełniej autentyczni w swej wymowie społecznej.

* * *

A jakie role! Szkoda, że mikroskopijne warunki „Małej Sceny“ utrudniły zadanie, zaskakując przede wszystkim reżysera. **Jerzy Merunowicz** powinien był nałożyć — jeśli można tak powiedzieć — dyskretny tłumik własnym pomysłom inscenizacyjnym i temperamentowi części zespołu.

Wszystkie role mogą służyć za popis gry aktorskiej, więc zespół starał się w miarę swych możliwości, korzystać z tego przywileju.

Niestety, wszyscy aktorzy oprócz **Szczepkowskiego** i **Masalskiej** (która zresztą nie doszła do głosu) dali szeroki przegląd najrozmaitszych wad scenicznej wymowy, co w kameralnych warunkach miało charakter niemal lekcji poglądowej.

Symbolika dekoracji **Wiesława Makojnika** niepotrzebnie uzupełniła komedię o czynnik „łopatologiczny“, przesuwając ją równocześnie w mgliste ramy ibsenowskiej scenerii.

„Wczoraj urodzony“ — Kanina

Trzecia sztuka, gatunkowo również komedia, natychmiast po katowickiej premierze ruszyła do Sosnowca i w teren. Amerykański pisarz Kanin podobnie jak Shaw — oskarża, przestrzega, grozi nawet. Ale jak on to robi? Przykro słuchać. Wydaje się niemal, że szlachetna tendencja społeczna jest tylko pretekstem dla pokazania gangsterskiej atmosfery amerykańskiej codzienności. I ta jednostronność w budowie charakterów denerwuje, a może niepokoi nawet. Postaci rekinów finansowych i ich popleczników obmalowane są w kilku mocnych skrótach ze zdecydowaniem plastycznego przekonywania, a postępowy dziennikarz, który wypowiada im walkę w imię słusznej idei, naładowany jest papierowym frazesem w typie moralizujących pastorów, błąka się w tej dżungli draństwa, jak misjonarz wśród ludożerców, przyjmujących jego nauki do czasu, zanim się utuczy.

„Wczoraj urodzony“ zyskał wiele dzięki trafnie dobranej obsadzie i zwartej reżyserii **Edwarda Żyteckiego,** ale w zestawieniu z poprzednio omówionymi sztukami, świadczy o niezasłużonym zbywaniu tzw. prowincji repertuarem mniej wartościowym i przypadkowym.

* * *

Zastrzeżenia te nie umniejszają wagi już osiągniętych rezultatów. Pierwszy krok — jak powiedziałem — został zrobiony i pociąga za sobą konieczność opracowania właściwego planu, uwzględniającego przede wszystkim repertuar i możliwości obsadowe, gdyż wszelka improwizacja jest opóźnieniem postępu. Pięciomiesięczny okres pracy Państwowych Teatrów Śląsko-Dąbrowskich był wprawdzie bardziej improwizowany niż planowy, ale stan ten wywołały trudności częściowo techniczne. Przezwyciężenie ich powinno być wytyczną dalszej pracy.

Bogdan Butryńczuk

Książki • Książki • Książki • Książki • Książki • Książki • Książki • Książki • Książki

„Niebo i ruiny“

Artur Serrano Plaja „Niebo i Ruiny“. Przekład Zofii Szlcyen. Warszawa, „Książka“, 1948, str. 150.

Arturo Serrano Plaja ukazuje w swych opowiadaniach nastrój owych dni madryckich z listopada 1936 roku, które zadecydowały o przebiegu hiszpańskiej wojny domowej. Przewaga uzbrojenia, techniki i organizacji jest po stronie gen. Franco; (republikanom brak wszystkiego, zwłaszcza samolotów, armat i czołgów; nawet karabiny maszynowe bywają rzadkością), co gorsza, wróg wdziera się wszędzie, piąta kolumna działa, tajne rozgłośnie sympatyków gen. Franco informują nieprzyjaciela najdokładniej o każdym szczególe madryckich prac fortyfikacyjnych. A jednak walka trwa nadal — podtrzymywana przez entuzjazm i wiarę hiszpańskiego ludu. Samochody ciężarowe wożą ludzi krzyczących:

„Madrid será la tumba del fascismo! No pasarán!“

— Madryt musi się stać grobem faszyzmu! To samo hasło rzucają w kinie improwizowane agitatorki. To samo z zaciśniętymi zębami powtarzają sobie robotnicy.

Nastrój ten uwydatnia się najlepiej w drugim z opowiadań Arturo Serrano Plaji pt. „Kapitan Javier“. Autor stosuje tu niezawodną metodę przeciwstawiania i kontrastu. Bohater tego opowiadania jest oficerem zawodowym, pochodzącym z zubożałej rodziny szlacheckiej; najszlachetniejsza ambicja wypełniała lata jego młodości szkolnej. Na progu kariery wojskowej, o której marzył, doznał psychicznego wstrząsu; został upokorzny i wyśmiany przez cynicznych paniczyków. To bolesne przejście zbliżyło go do ludu, ale zatruło go równocześnie, odbierając mu radość, wiarę, sam nawet instynkt życia. I dlatego Javier jest świetnym nieustraszonym oficerem armii republikańskiej — ale oficerem bez wiary w zwycięstwo. „Dla niego lud — to było jego rodzinne miasteczko, rozrośnięte do wielkich rozmiarów, gdzie wszyscy mieli zrozumienie dla spraw ludzkich i zapas prostych uczuć, współczucia i serdeczności... Nie rozmyślał nad tym, że lud poza swym normalnym kręgiem działania miał jeszcze namiętności siłę, władzę straszliwą i wspaniałą“.

Heroicznej i szlachetnej, ale skazanej na klęskę, postawie kapitana Javier przeciwstawia Serrano Plaja zachowanie się ludzi prostych. Javier „wychodził z założenia, że tamci (tj. ludzie gen. Franco) „przejdą“ niezawodnie, że jest to nieuniknione jak przeznaczenie. Jego konstrukcja psychiczna skłania go do przewidywania klęski, ostatecznej katastrofy. Zaś „ci, wszyscy tutaj“, wszyscy pozostali... Gdyby ich zapytać, każdego po kolei, kto wygra wojnę — nawet podczas panicznej ucieczki odpowiedzą bez wahania, a nawet nieco obrażeni: „Oczywiście, że my wygramy, a któżby? Madryt będzie grobem faszyzmu!“ „Tutaj sens i znaczenie miała zupełnie niekonkretna rzecz: nadzieja. Ci tutaj byli w tej walce niżsi, ale równocześnie nieskończenie wyżsi, byli słabi, ale wyposażeni w mistyczną moc“.

Jest jasne, że książka Plaji, pisana na emigracji (w Santiago de Chile) w roku 1941 — miała nie tylko przypomnieć pierwszy epizod walki z faszyzmem i prolog wojny. Miała także zgłębić mechanizm i podstawy tej nadziei, która — pomimo doznanej chwilowo klęski — ożywia nie tylko emigrantów hiszpańskich, ale i czekający na wyzwolenie naród.

W. N.

„Praca i miłość“

Halina Maria Dąbrowolska „Praca i miłość“. Wydanie drugie. Łódź—Wrocław, Wyd. Władysława Bąka, 1948, str. 254 i 2 nl.

Wyidealizowany dwór, wyidealizowany pan, wyidealizowana panienka i jej późniejsze losy po utracie rodzinnych posiadłości na skutek rewolucji rosyjskiej — to temat powieści Dąbrowolskiej.

W części pierwszej zatytułowanej „Dni pogodne“ (Oczami dziecka), autorka kreśli obraz domu rodzinnego i dzieciństwa bohaterki. Nazywa się ona Klementyna Moromańska i jest panienką z kresowego dworu. Ojciec jej z zawodu ziemianin, z wykształcenia lekarz, leczy ubogą, okoliczną ludność bezinteresownie. Jest on typem idealisty, co jasno wynika z wyznania, które pewnego wieczoru uczynił córce swojej Klementynie „żeby nigdy, gdy będzie w biedzie, gdy będzie nieszczęśliwa, nie obwiniała go. Nie potrafi i nie może uczynić dla szczęścia rodziny nic, — jeśli — trzeba zrzucić chociaż jedno wróble gniazdo“. (Str. 17). We dworze rodzinnym Klementyny panuje nastrój sielski i anielski „Ktokolwiek znalazł się w kuchni, odchodził poczęstowany kawałkiem chleba z serem, kieliszkiem wódki, owocem, czy całym obiadem... Nawet kupiec z miasta — Lejzor“ (str. 25—26).

Klementyna wzrastała w powszechnym uwielbieniu, nazywana cudownym dzieckiem przez krewnych i gości, a „naszą świętą panienką“ przez służbę i okoliczny, lojalny lud.

Wreszcie przyszła wojna, ta, po której trzeba było opuścić kresowy dwór. O przeżyciach wojennych Klementyny, autorka mówi tyle, że pomagała ojcu leczyć i pielęgnować chorych na tyfus. A potem po utracie ojca i najbliższych osiedliła się w prowincjonalnym miasteczku. Jakiś czas żyła z przewiezionego w szwie brylantu, w końcu, zaczęła pracować jako urzędniczka w kancelarii Sądu. Działo się jej bardzo źle zarówno materialnie jak i psychicznie. Autorka poświęca wiele stron mękom i udrękom Klementyny. Nie działo się Klementynie dobrze i w sprawach uczucia. Kuzyn jej Grzegorz, którego obdarzała uczuciem, tym większym, że na skutek wojny stracił władzę w nogach, zachowywał się w stosunku do niej tak powściągliwie, że nie miała żadnej pewności, czy odwzajemnia jej uczucie. Choć czasem w jej obecności, poddawał się nastrojom, które świadczyłyby raczej o tym, że nie jest mu obojętna. Pewnego dnia, życie Klementyny zostało odmienione, gdyż poznała cudzoziemskiego inżyniera Jamesa, który wywarł na niej mocne wrażenie. „Najpierw — czytamy — niejako musiała się przyzwyczaić, pogodzić z tym, że jest tak piękny. Dobroć naiwna, spoczywająca w sile. Oczy niebieskie, łagodne i uśmiech, brat oczu, w męskiej, brytyjskiej twarzy“. Inżynier pokochał ją od pierwszego wejrzenia i oświadczył jej, że chce ją zabrać jako żonę do dalekiej swojej ojczyzny. Klementyna pokochała go również, ale kiedy doszło między nimi do decydującego momentu, oświadczyła mu, że z nim nie zostanie, ponieważ jednak postanowiła poświęcić swoje życie Grzegorzowi. Po tej heroicznej decyzji otrzymała list od Grzegorza, który wyznał jej, że w czasie wojny w Rosji, związał się z pewną kobietą, z którą ma dziecko i to było powodem jego rezerwy w stosunku do Klementyny. List Grzegorza zbiegł się z chorobą Klementyny. Gdy wróciła do zdrowia spotkał ją, jeszcze jeden cios, bo przez podłość ludzką traci posadę. Realizując swoją wieczną tęsknotę wyniesioną jeszcze z dworu rodzinnego do poświęcania się dla dobra bliźnich i uszlachetniania się przez cierpienie, udaje się do zakaźnego szpitala, by pielęgnować chorych. Poza główną bohaterką, daje autorka kilka postaci, bliżej scharakteryzowanych jak np. Wacława Gruda córka praczki i dozorcy, której autorka przyznaje wprawdzie zdolności i ambicje, ale każe jej za to „uprawiać sporty i mężczyzn...“

Przeczytaliśmy „Pracę i miłość“, by wyręczyć w tym czytelników.

J. R.

„Żywioły“

Kazimierz Koźniewski „Żywioły“. Rzecz o Ziemiach Zachodnich Rzeczypospolitej. Poznań, Wydawnictwo Zachodnie, 1948, str. 410.

Tematem książki są zgodnie z podtytułem Ziemie Zachodnie. Autor, w cyklu reportaży stara się dać jak najbardziej wszechstronny obraz Ziem Odzyskanych, z perspektywy lipca 1948 roku. Porusza w książce swej to, co dla ziem tych jest najistotniejsze. Szereg reportaży poświęcony jest wszystkim gałęziom przemysłu Ziem Zachodnich, a więc cukrownictwu, przemysłowi drożdżowemu, winnemu, rybnemu, wełnianemu, papierniczemu, hutniczemu, produkcji porcelany, dywanów, kryształów i hodowli zwierząt futerkowych. Autor zapoznaje nas również z niektórymi zakładami przemysłowymi, jak na przykład PA-FA-WAG, kopalnia Zabrze i Państwowa Fabryka Wyrobów Drzewnych w Zielonej Górze. Poza przemysłem, interesuje autora i wieś. Najdokładniej zajmuje się wsią Kozoniowo pod Wrocławiem, którą poznaje w styczniu 1946 i odwiedza poraz wtóry w czerwcu 1947 roku. Wiele miejsca w swoich reportażach poświęca Koźniewski ludziom spotkanym na Ziemiach Zachodnich. Najbardziej charakterystyczni są tacy jak np. rodzina Jasińskich, małorolnych chłopów spod Płońska, gospodarujących obecnie z powodzeniem na nowej ziemi, czy Piotr Jodko, rybak, rodem spod Lidy, albo szewc Cyrankowski z Kielc, czy też Adolf Ciborowski, młody inżynier-urbanista, planujący przebudowę i rekonstrukcję Szczecina i okręgu. Szczególnie interesujące są reportaże dotyczące Uniwersytetów Ludowych na Ziemiach Zachodnich, gdzie poza nauką, wpaja się w młodzież autochtońską świadomość tego, że są Polakami. W przedmiocie spraw kulturalnych, autor jest zdania, że na Ziemiach Zachodnich, a w szczególności we Wrocławiu, życie naukowe rozwija się pomyślniej, niż artystyczne. Autor uzasadnia to tym, że zbyt mało literatów i artystów znajduje się na Ziemiach Zachodnich.

W książce Koźniewskiego znaleźć można wiele danych statystycznych i cyfr, co świadczy o tym, że autor przystępując do reportaży o Ziemiach Zachodnich, starał się gruntownie zapoznać z tematem.

Reportaże Koźniewskiego są rzetelne, obiektywne, pisane w formie sprawozdawczej. Książka pożyteczna dla każdego, kto chce poznać życie na Ziemiach Zachodnich.

J. R.

„Miecz i łokieć“

Wiktor Gomulicki „Miecz i łokieć“. Warszawa, Wyd. „Ex libris“, 1948, tom I str. 244, tom II str. 216.

Kto z czytelników nie lubi dobrych sensacyjnych powieści? Popularność Sienkiewicza, Dumasa-ojca, Dickensa, wynikła z sensacyjnej fabuły, jaką pisarze ci potrafili tak świetnie wypleść na historycznej czy obyczajowej kanwie. Do takiego właśnie gatunku powieści zaliczał się przed 47 laty „Miecz i łokieć“, pióra Wiktora Gomulickiego, dobrze znanego obecnym czytelnikom, autora „Wspomnień niebieskiego mundurka“. „Miecz i Łokieć“ cieszył się na początku dwudziestego stulecia ogromną popularnością. Wydanie obecne świadczy, iż powieść swych zasadniczych wartości nie straciła i że nadal pozostała lekturą wręcz pasjonującą.

Początek siedemnastego stulecia; panowanie Zygunta III Wazy. Akcję powieści dziejącą się głównie w Starej Warszawie rozpoczyna wielki huragan z 1602, który obala wieżę Świętego Jana. Dalej opowiada Gomulicki o pożarze — spłonęło wtedy stare miasto — o perypetiach bandy Lisowczyków, o potrzebie Chocimskiej, o Gdańsku, kończy zaś o roku 1625, opowieścią o Warszawie — wielkim cmentarzysku, gdzie szaleje „czarna zaraza“. Te ramy wypełnione zostały tragedią rodu warszawskiego burmistrza; jego rzekoma córka i jej zalotnik przeżywają przygody i rozpaczliwe dramaty. Cała historia dzieje się w środowisku mieszczańskim, ówczesna krytyka była zdania, iż „Miecz i łokieć“ w zamiarze Gomulickiego jest świadomą antytezą do „Ogniem i mieczem“, przeciwstawioną jako powieść mieszczańska powieści szlachecko-rycerskiej. Brückner nazwał Gomulickiego: „pierwszym naszym urbanistą na większą skalę“.

Dziś oczywiście antyszlachecka tendencja powieści, nie będąc niczym rewelacyjnym, mocno zwietrzała. Pozostała jednak pyszna fabuła historyczno-sensacyjna, pozostał bogaty obraz Warszawy wieku XVII namalowany zresztą w barwach mało pociągających, niewyidealizowanych. Wartości te sprawiają, iż „Miecz i łokieć“ „połyka“ się dosłownie jednym tchem. Powieść została opatrzona zwięzłym i dobrze orientującym w biografii autora i tle historycznym książki posłowiem pióra J. W. Gomulickiego. Oby i innym wznowieniom towarzyszył podobny komentarz.

K. K.

Tydzień bibliograficzny

BIBLIOLOGIA.

Romuald Jackowski. Książka powstaje. Praktyczne wskazówki dla autorów, wydawców, redaktorów, grafików, kreślarzy i korektorów. Łódź, Główna Księgarnia Wojskowa, 1948; str. 238 i 33 knl.

GEOGRAFIA.

Podręcznik Wyszkolenia Politycznego. Kurs dwuletni. Geografia Polski. Wydanie drugie. Warszawa, „Prasa Wojskowa“, 1948; str. 99 i 1 nl. i 22 i 2 nl.

Biblioteka Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Mazury i Warmia. Tekst opracował **Jan Grabowski.** Warszawa, „Nasza Księgarnia“, 1948; str. 62 i 2 nl.

HISTORIA.

Historia Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (Bolszewików). Krótki kurs. Warszawa, „Książka“, 1948; str. 415 i 1 nl.

Kraje demokracji ludowej. Warszawa, „Prasa Wojskowa“, 1948; str. 32.

Biblioteczka „Świat i Polska“. Nr 3. **Marian Podkowiński.** Pamiętniki Goebbelsa. Warszawa, „Wiedza“, 1948; str. 76 i 4 nl.

Adolf Sowiński. Ściegienny. Wikary z Wilkołazu. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1948; str 179 i 5 nl. i 1 knl.

Biblioteka Świetlicowa Domu Wojska Polskiego. Zjednoczenie ruchu robotniczego. Opracował **Zbigniew Stolarek.** Warszawa, „Prasa Wojskowa“, 1948; str. 153 i 3 nl.

LITERATURA.

Wojciech Bąk. Dłonie z wiatru. Łódź, Władysław Bąk, 1948; str. 118 i 2 nl.

Wojciech Bąk. Twarze. Opowiadania. Łódź, Władysław Bąk, 1948; str. 141 i 7 nl.

Helena Boguszewska. Polonez. T. IV. Święcona kreda. Powieść. Wydanie drugie. Warszawa, „Wiedza“, 1948; str. 451 i 5 nl.

Jean Cassou. Paryż we krwi. Warszawa, „Wiedza“ 1948; str. 302 i 2 nl.

Beniamin Constant. Adolf. Przełożył i wstępem opatrzył **Tadeusz Żeleński (Boy).** Warszawa, „Wiedza“, 1948; str. 141 i 3 nl.

H. Fast. Amerykanin. Warszawa, „Wiedza“ 1948; str. 333 i 3 nl.

Anatol France. Tais. Przekład. **Jana Stena.** Warszawa, „Książka“, 1948; str. 171 i 1 nl.

John Galsworthy. Saga rodu Forsytów. T. I. Posiadacz. Warszawa, „Wiedza“, 1948; str. 452 i 4 nl i 1 knl (tabela).

Borys Gorbatow. Dusze nieujarzmione. Przełożył **Tadeusz Zabłudowski.** Warszawa, „Książka“, 1948; str. 141 i 1 nl.

Biblioteka Poetycka Domu Wojska Polskiego. **Tadeusz Kubiak.** Żołnierze i robotnicy. Okładka i opracowanie graficzne **M. Bogusza.** — Warszawa, „Prasa Wojskowa“, 1948; str. 29 i 3 nl.

Jack London. Biały kieł. Powieść. Warszawa, „Książka“, 1948; str. 223 i 3 nl.

Prosper Merimée. Carmen. Czyśćcowe dusze. Tamango. Kolobra. Przełożył i wstępem opatrzył **Tadeusz Żeleński (Boy).** Warszawa, „Wiedza“, 1948; str. 289 i 3 nl.

Eliza Orzeszkowa. Bene nati. Powieść wiejska. Warszawa, „Wiedza“, 1948; str. 4 nl. i 216 i 4 nl.

Eliza Orzeszkowa. Cham. Warszawa, „Wiedza“, 1948; str. 6 nl. i 256 i 2 nl.

Eliza Orzeszkowa. Dziurdziowie. Warszawa, „Wiedza“, 1948; str. 225 i 3 nl.

Leon Pasternak. Zasady i kwasy. Satyry. Wydanie drugie. Warszawa, J. Przeworski, 1948; str. 60 i 4 nl.

Jerzy Pytlakowski. Olimpijczyk. Okładka i ilustracja **Mariana Walentynowicza.** Warszawa, „Prasa Wojskowa“, 1948; str. 20 i 6 nl.

Roman Sadowski. Rzut oszczepem. Warszawa, „Wiedza“, 1948; str. 42 i 6 nl.

Aleksander Serafimowicz. Żelazny potok. Przełożył **Józef Brodzki.** Warszawa, „Prasa Wojskowa“, 1948; str. 245 i 3 nl.

Wacław Sieroszewski. Nowele. Z przedmową **Witolda Jabłońskiego.** Warszawa, „Wiedza“, 1948; str. 150 i 2 nl.

Klemens Tilmann. Droga w słońcu. Tłumaczył i opracował **Ireneusz Pogodny.** Katowice, Księgarnia św. Jacka, 1948; str. 52.

Biblioteka Arcydzieł Powieści Rosyjskich. Tom 4. **Iwan Turgieniew.** Rudin. Powieść. Tłumaczył **Stefan Kołaczkowski.** Z przedmową **Wandy Lipskiej.** Łódź, Władysław Bąk, 1948; str. 190 i 8 nl.

Biblioteka Arcydzieł Powieści Rosyjskich. Tom 6. **Iwan Turgieniew.** Szlacheckie gniazdo. Powieść. Przekład **Heleny Markiewicz - Szaniawskiej.** Z przedmową **Marii Alexandrowicz.** Łódź, Władysław Bąk, 1948; str. 231 i 9 nl.

NAUKA O LITERATURZE.

Stanisław Helsztyński. Od Fieldinga do Steinbecka. Warszawa, St. Cukrowski, 1948; str. 256 .

Karol Irzykowski. Pałuba. Sny Marii Dunin. Wstępem opatrzył **Kazimierz Wyka.** Warszawa, „Wiedza“, 1948; str. XVI i 378 i 4 nl.

Edward Smajdor. Sądeczyzna w polskiej literaturze pięknej Szkic historyczno - literacki. Nowy Sącz, Drukarnia Rudolfa Ladenbergera, (b. r. w.); str. 73 i 5 nl.

Pewna powieść francuska

(Dokończenie ze strony piątej)

Sceptyk w sprawach nauki i cynik w życiu społecznym, jako kryterium dla oceny zjawisk historycznych używa Saint-Benoist logiki rozumu. Słuszne jest to co jest rozumne. A co jest rozumne? Dla Saint-Benoista ówczesne wielkie ruchy społeczne są tylko „nudnym chaosem“.

Wojny religijne, narodowo-wyzwoleńcze, wydawały się Saint-Benoistowi absurdalne, gdyż nie były jego zdaniem kierowane przez świadomą, zorganizowaną wolę człowieka. Natomiast wojny prowadzone przez Oldhorse'a (który pod jego właśnie wpływem przejął się naukami Macchiavellego) wprawiają go w podziw i w zachwyt swą żelazną logiką. A więc logika sprowadza się do wybrania wielkiego (a poza tym wszystko jedno jakiego) celu i konsekwentnego stosowania środków prowadzących do tego celu (niezależnie od ich użyteczności lub szkodliwości społecznej).

Oto co we współczesnej powieści francuskiej zostało z racjonalistycznej i materialistycznej filozofii.

MALEŃKIE ŻYCIE

Te dwie silne i jednolite postaci wywierają przemożny wpływ na van Sterteena. Wprawdzie jego drażliwe, lecz niepewne siebie sumienie agnostyka wciąż protestuje, buntuje się przeciw zbyt drastycznym posunięciom przyjaciół i mistrzów, lecz potrzeba wodza, który by podtrzymywał jego słabość, urok logiki, tak jak je pojmuje Saint-Benoist, przemożny czar powodzenia, którym owiany jest Oldhorse— sprawiają, że van Sterteen raz po raz, czasem nawet nieświadomie rezygnuje ze swych postulatów. A przecież jego nienawiść, jego wstręt do barbarzyństwa, do rzezi były szczere i głębokie. Któż wytłumaczy, dlaczego rzezie uczynione w imię wyzwolenia klasowego i narodowego wywołują w nim szlachetny bunt całej jego istoty, wszystkich trzewi, a rzezie Oldhorse'a są tylko „wielkim wiatrem awantury“? Skomplikowana, zaprawdę, jest mechanika psychologii mieszczańskiej.

Jednakże Jan van Sterteen nie byłby świetnym uosobieniem zdeklasowanego inteligenta, gdyby udział w wielkim dziele Oldhorse'a i „wolna“ filozofia Saint-Benoista zaspokoiły jego żądania i apetyty intelektualne, skierowane na wszystko, czego objąć nie może. Oldhorse grubo przesadził, gdy mu obiecał aktywną rolę zdobywcy. Van Sterteen do końca zostaje obserwatorem i od czasu do czasu pilnym wykonawcą cudzych rozkazów. Toteż w orszaku Oldhorse'a, jak przedtem, jak zawsze — prowadzi — na marginesie wydarzeń, swoje maleńkie życie, po brzegi wypełnione wielką, oczywiście „złą“ miłością. To jest jedyne przeżycie, które mu przyniosła wymarzona, nieznana przygoda.

A jednocześnie umysł jego — zdolny tylko do męczącego dreptania na miejscu — będzie do końca rozrywany między pragnienie czynu i marzenia o wieczystym pokoju, o znalezieniu, sklejeniu siebie, o mistycznym zbrataniu z wszechświatem, będzie się wiecznie wahał między oldhorse'owskim traktowaniem tłumu jako narzędzia, a mirażem powszechnego szczęścia. Stąd szacunek — pełen zresztą zdziwienia, często odrazy a zawsze niezrozumienia — dla komunizmu Cigali, stąd mnogość wszelkiego rodzaju reformatorów i świętych szaleńców, których wpływowi ulega.

Wspólna cecha tych mistyków to wstręt, nienawiść do gwałtu, do barbarzyństwa, przekonanie, że „bardzo rzadko i z wielkim trudem tylko można wyleczyć grzech przez cierpienie, ale absolutnie niemożliwe jest wyleczenie cierpienia przez grzech“.

Słowem — niesprzeciwianie się złu.

Reformatorzy społeczni w książce — poza Cigalą zajmującym osobne miejsce — to anarchiści swoistego autoramentu, występujący nie tylko przeciw **zorganizowanej** walce, ale i przeciw teoriom, które walkę usprawiedliwiają.

„... Wielka zgnilizna Litery — wybucha Bapou — wielka zgnilizna Kościołów... Dziś Duch winien pozbyć się Litery, która przyczyniła mu zło konieczne, i płynąć wolny...“

Ta tyrada zwrócona jest przeciw obu stronom walczącym: przeciw katolikom i przeciw protestantom, przeciw zwycięzcom i przeciw pokonanym, przeciw najeźdźcom i przeciw patriotom. Potępia ona jednocześnie walki klasowe, które za czasów Reformacji toczyły się jeszcze, hasłami czerpanymi przez obie strony z Biblii, przy czym chodziło pozornie o poprawne stosowanie słowa bożego. W czasach, w których żyje autorka, walki klasowe mają swoją Literę — rewolucyjną teorię naukową. Potępienie „Litery“ — niedwuznacznie określa aktualną postawę autorki.

Między „wodzem“ a anarchizującymi świętymi waha się i dręczy mały, niezaradny van Sterteen.

Oto treść książki gęstej jak mgła, pełnej ludzi, przygód, uczuć i myśli. Jakie jest stanowisko autorki wobec swych bohaterów i świata?

Bohaterów jest właściwie dwóch, dopełniających się wzajemnie i tworzących razem (zdaniem d'Eaubonne) człowieka przez wielkie C, swoistego współczesnego „Ecce homo“. Bohaterzy ci, to dwie odmiany typu zdeklasowanego inteligenta. Van Sterteen — bierny agnostyk-rezoner i Saint Benoist — cyniczny konkwistador: oto jedyne postaci, które wyłowiła autorka z wielkiej zawieruchy dziejowej, z klęsk i zmagań społecznych przełomowych lat Reformacji.

Credo autorki zostało szerzej rozwinięte w posłowiu.

Po pierwsze: „Życie trwa zawsze, nic nie „przemija“ ani nie „zjawia się“ w najbardziej nawet ożywionym istnieniu, a crescendo wypadków jest tylko wynalazkiem powieściopisarzy. Ta sama nicość, która pochłonie nas, pochłonie zapewne zarówno klęskę, jak chwałę“...

A więc negacja rozwoju zarówno w życiu jednostki, jak w życiu społecznym (pesymizm). Ta postawa autorki znajduje wyraz nie tylko w epilogu i w wypowiedziach bohaterów, ale w budowie fabuły powieści. Wódz i towarzyszące mu jednostki wyrywają się co prawda ze współczesnego zamętu społecznego, wznoszą się ponad ludzkość, stają się założycielami nowego społeczeństwa, ale społeczeństwo to, jak się okazuje, wcale nie jest doskonalsze od tego, którym wzgardzili. W triumfie Oldhorse'a tkwi i jego klęska.

Po wtóre: do czynu, do twórczości, do życia popycha nas nieunikniony i wieczysty fatalizm praw biologicznych. One rodzą walkę.

Agnostycyzm filozoficzny i cynizm w dziedzinie moralności, antyhistoryczna, odrzucająca rozwój analiza przeszłości, wulgarny biologizm tłumaczący zjawiska społeczne prawami rządzącymi światem zwierzęcym, przeniesionymi żywcem na ludzkość, kult silnej indywidualności, wodza jednego spośród milionów, który dzięki swej woli wyłamuje się z więzów biologii i więzów społecznych wznosząc się ponad dobro i zło, który jeden może drepczącą w kółko historię zmusić do galopu na oślep, przed siebie — oto w wielkim skrócie system myślowy d'Eaubonne. I nie tylko d'Eaubonne. Oto system myślowy pewnego odłamu inteligencji francuskiej.

Zofia Dąbkowska

W poprzednim 3 (216) numerze „Odrodzenia“: **Jacek Wołowski:** Zaczęło się 14 września. — **Julian Tuwim:** Ab urbe condita. — **Kazimierz Wyka:** Pisarz ludowego optymizmu. — **Max Frisch:** Kultura nie jest rezerwatem. — **Tadeusz Kulisiewicz:** Warszawa w styczniu 1945 roku. — **Helena Bobińska:** Mur obalony. — **Mariusz Margal:** Od Cinés do ruin Cinecitty. — **Henryk Markiewicz:** Ubodzy krewni postępu. — **B. W. Linke:** Atmosfery literackie. Józef Weyssenhoff. — **Artur Marya Swinarski:** „Zieleni się zboże“. — Sztuka dla dzieci i młodzieży. — **Stefan Baley:** Zagadnienie czynnika seksualnego w literaturze dla młodzieży. — **Stefania Wortman:** O fałszowaniu rzeczywistości. — **Janina Osińska:** Biblioteki dziecięce miasta Warszawy. — **Jan Lenica:** Grafika: Ignacy Witz — ilustrator. — **Edmund Zdanowski:** „Miasto Gdańsk dawniej nasze...“ Camera obscura. — 19 ilustracji. — 8 stron.

Nowy numer „Twórczości“

Grudniowy (12) zeszyt „Twórczości“ jest poświęcony w głównej części Adamowi Mickiewiczowi dla uczczenia 150-ej rocznicy urodzin wielkiego poety.

Wacław Kubacki w rozprawie „Etyka i poetyka“ analizuje „poetycką moralistykę, z jaką spotykamy się w dziełach młodego Mickiewicza“, szukając literackich odpowiedników ówczesnego systemu pojęć etycznych.

Wacław Borowy pisze o Mickiewiczu — „poecie przeobrażeń“, rozpatrując jeden z najbardziej znaczących i najczęstszych motywów w jego dziełach: wewnętrzne przeistoczenie bohaterów.

Henryk Batowski wzbogaca wiedzę o Mickiewiczu nowymi materiałami w cennej pracy „Z nieznanych wypowiedzi i listów Mickiewicza“.

Poza materiałami mickiewiczowskimi na wyróżnienie zasługuje studium Heleny Blumówny p. t. „Twórczość Zbigniewa Pronaszki“, w którym autorka wyczerpująco przedstawia dorobek malarski, rzeźbiarski i scenograficzny jednego z najwybitniejszych plastyków współczesnych.

Pozycją o pierwszorzędnym znaczeniu dokumentarnym jest „Diariusz kultury polskiej za rok 1947“, opracowany przez Piotra Grzegorczyka.

Zeszyt otwierają dwa poematy: „Staruszki“ Franciszka Halasa (tłum. K. A. Jaworski) i Jerzego Zagórskiego „Pióropusz“; spokrewniony wspólnym nastrojem zadumy nad zmienną a przecież wieczną urodą świata — należą oba utwory do najpiękniejszych wśród publikacji poetyckich ostatniego czasu.

ANNA Z. LINKE

WYSTAWA PLASTYKI WĘGIERSKIEJ

w Muzeum Narodowym

ROZWÓJ REALIZMU

Podtytuł wystawy wykazuje dobitnie, jak różnorodne formy wypowiedzi plastycznych obejmuje pojęcie realizmu. W ostatniej zwłaszcza dobie implikuje ono określoną po-



Ferenc Medgyessy—„Macierzyństwo"

stawę duchową i światopogląd artysty, jak niegdyś — malarstwo romantyczne — pozostawiając przy tym niemałą swobodę twórczą w dziedzinie formy. Wielokrotnie dawano już wyraz niepokojom naszych plastyków w obliczu „realistycznego" skrępowania rozwiązań formalnych, pomimo że w dyskusjach o realizmie rozgranicza się zawsze jak najkategoryczniej realizm od naturalizmu, a podciąga natomiast pod realizm różnorakie odmiany plastyczne, kładąc nacisk w lwiej części na wrażliwość społeczno - humanistyczną plastyka.

Jeden z wybitnych krytyków sztuki, Cogniat streszcza stosunek francuskich plastyków do realizmu, rozpatrując go m. i. w następującym aspekcie:

„...sądzę ze artyści nasi zgodziliby się, gdyby żądano od nich znalezienia ściślejszego kontaktu ze społeczeństwem, gdyby żądano, aby wprowadzili do swej twórczości pojęcia bardziej ludzkie, by porzucili język wtajemniczonych, dostępny jedynie paru wybranym". W dalszym ciągu wyraża Cogniat mniemanie, że postulaty stawiane plastykom przez państwo, mają na celu nie tyle ingerencję w wybór plastycznych środków, co po prostu zapewnienie każdemu artyście normalnych warunków egzystencji i ochronę bytu przed przypadkowością mód w sztuce oraz spekulacji finansowej. To ostatnie niebezpieczeństwo jest na naszym terenie o tyle mniej groźne, niż we Francji, że „instytucja" fabrykujących modę marchandów nie jest u nas rozpowszechniona.

Obecna wystawa skupia prace dziewięciu malarzy i tyluż rzeźbiarzy, różne tak pod względem kierunku artystycznego, jak poziomu. Wystawców łączy głównie tematyka, związana przeważnie z historią i życiem ludu węgierskiego.

Dowodem, jak obszerna i pojemna jest treść pojęcia realizmu, są zwłaszcza obrazy najciekawszego bezprzecznie wystawcy — malarza DERKOVITSA, o najwyraźniejszym zresztą obliczu społecznym i silnym zacięciu satyrycznym. Derkovits, urodzony w 1894 roku, był robotnikiem, zanim został malarzem. Nie zadowolił się jednak na szczęście — jak wielu — prymitywem. Po gruntownych studiach łączy Derkovits duże osiągnięcia kolorystyczne i wytworną powściągliwość środków malarskich z żywą, palącą tematyką— zespół równie rzadki, jak cenny. Kolor, stłumiony i utrzymany w jasnych, subtelnych tonacjach, podkreśla celnie, a zjadliwie nieludzkość dziejących się w kompozycjach zdarzeń. W takim np. obrazie, jak „Dla chleba" — kontrastująca z treścią idylla kolorystyczna spełnia swe zadanie w sposób przekorny i nieoczekiwany.

W uproszczeniach rysunkowych Derkovitsa najbardziej widocznych w cyklu drzeworytów „Rok 1514" (jedyna grafika na wystawie), czuje się pozostałości ekspresjonizmu, dalekie zresztą od zdecydowania i śmiałości Masereela. Oryginalny obraz „Przy telefonie", gdzie całe niemal płótno zajmuje różowa łysina i mięsisty kark rozmawiającego, przy którym przedziwnie drobnieje słuchawka — staje się kompozycją niemal abstrakcyjną dzięki lapidarnemu, jednoplanowemu rozwiązaniu. Studia portretowe Derkovitsa, dobre w rysunku, wykonane są również jego ulubioną techniką temperową, lecz są znacznie dosadniejsze kolorystycznie od kompozycyj figuralnych.

Impresjonistyczne prace starszego malarza — J. KOSZTY, mają rzadko widywaną intensywność i nasycenie koloru, dając obrazom urok niemal egzotyczny. Ze wstępu do katalogu, który tym razem wikła zagadnienia plastyki, nazbyt je upraszczając, dowiadujemy się o chłopskim pochodzeniu autora; opisywanej jednak ponurości jego obrazów nie sposób dostrzec. Jest w nich raczej atmosfera skupienia, rozmach, siła, oraz trafna i bezpośrednia obserwacja postaci i efektów świetlnych.

J. NAGY - BALOGH, jest malarzem pracy i życia proletariatu. Jego sceny z życia codziennego, wnętrza i martwe natury przypominają wczesny okres Utrilla. Oprócz sumiennego rysunku prace jego odznaczają się umiarem i wytwornością kolorów. Ulubione gamy Nagy - Balogha to rozbielone, dobrze rozbudowane, chłodne szarości.

Bardzo oryginalną pozycję wystawy stanowią gobeliny NOEMI FERENCZY. O ile jednak „Karczowanie lasu" i „Przy grabieniu" są niezmiernie dekoracyjne dzięki rytmowi powtarzających się elementów i spełniają doskonale swe tkaninowe zadanie, o tyle np. „Jedność" ma poważne niedociągnięcia. Przy realistycznym bowiem traktowaniu wielu (niepotrzebnych) szczegółów, zawodzi zupełnie monumentalne założenie, tym bardziej, że niedekoracyjnie rozwiązane postaci kończą się nagle dwiema martwymi, małymi głowami niedorozwiniętych panów z domu poprawczego, co nie tłumaczy się, i jest niekonsekwentne zarówno w formie, jak w treści. Nie wierzę, by temat o silnym ładunku uczuciowo - ideologicznym nadawał się do rozwiązań na wskroś dekoracyjnych, jakie narzuca, lub powinna narzucać tkanina. Monumentalne dzieła prof. Kowarskiego, w których perspektywa traktowana jest jak najpowściągliwiej, a poryw ludzki hamowany i „upomniczony" — można w pewnych fragmentach wyobrazić sobie jako mozaikę; lecz jako tkaninę — niesposób. Łańcuch jasnych postaci, rzucony na nasycona barwę tła („Przy grabieniu") działa świeżo i dekoracyjnie.

Fotos staje sie w gobelinie czymś nieznośnym, realizm — przechodzi w tkaninie w naturalizm zgoła niestrawny.

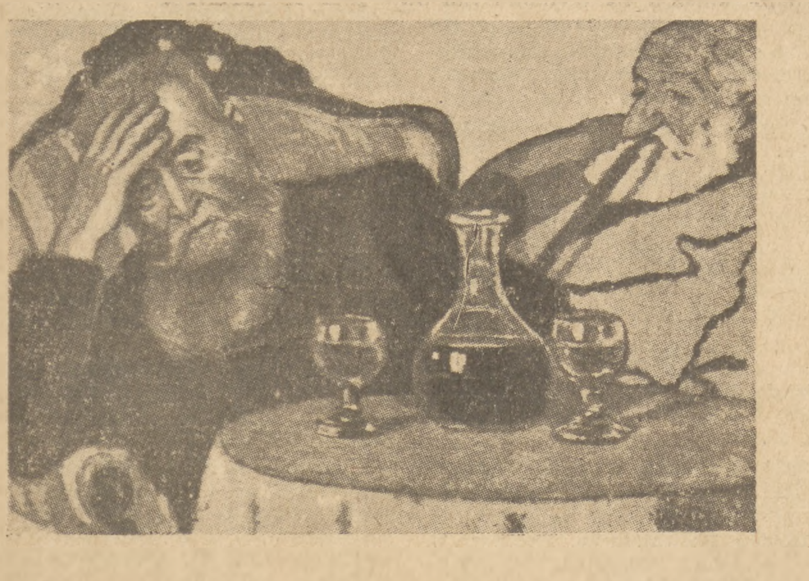
Przedstawiciel węgierskiej secesji, RIPPL-RONAY reprezentowany jest przez kompozycje figuralne oraz pełne humoru i temperamentu portrety. Jest to znakomity malarz, pokrewny nieco naszemu Krzyżanowskiemu.

Dział rzeźby obejmuje przeważnie drobne prace w brązie i metaloplastykę. Trudno na tej podstawie wysnuć ogólniejsze wnioski o rzeźbie węgierskiej. Wyraźnie monumentalne założenia mają prace Ö. PECKA, zbliżone do rzeźby fińskiej.

Anna Z. Linke



Noemi Ferenczy: „Przy grabieniu"



Józef Rippl - Ronay „Ojciec i wuj"

KORESPONDENCJA

„SINO-POLONICUM"

Do Redaktora „Odrodzenia"

Interesującą notatkę prof. W. Jabłońskiego o chińskim pisarzu rewolucyjnym Lu-sünie (Odrodzenie nr 1 (214) str. 4) pragnę — w porozumieniu z prof. Jabłońskim — uzupełnić małym sino-polonicum, które może zainteresować zarówno naszych historyków literatury jak i szersze koło czytelników. Oto wedle wyznania samego Lu-süna zaprawiał się on do przyszłej działalności pisarskiej nie tylko przez lekturę autorów rosyjskich i japońskich, lecz i polskiego Sienkiewicza. Odpowiedni fragment z artykułu Lu-süna pt. „Jak zacząłem pisać powieści" brzmi w dosłownym przekładzie z oryginału:

„Ponieważ w utworach poszukiwałem krzyku i protestu, siła rzeczy zwróciłem się ku Europie wschodniej. Dlatego też czytałem szczególnie wiele rzeczy autorów rosyjskich, polskich a także pisarzy z krajów bałkańskich. Gorąco pragnąłem poznać również dzieła pisarzy hinduskich i egipskich, lecz nie zdołałem do nich dotrzeć. Pamiętam, że w owym czasie najulubieńszymi autorami byli Rosjanin Kuo-ko-li (Gogol) i Polak Hien-k'e-wei-czy (Sienkiewicz); z Japończyków zaś Natsume Soseki i Mori Ogai".

Tyle Lu-sün. Ścisłość powyższej wypowiedzi może budzić pewne wątpliwości, gdyż i niełatwo sobie wyobrazić, jakich to autorów polskich prócz Sienkiewicza (którego poznał zapewne w przekładach japońskich) mógł czytywać przyszły chiński pisarz rewolucyjny, i twórczość samego Sienkiewicza trudno oceniać zwłaszcza ze stanowiska rewolucjonisty — jako „krzyk i protest" przeciwko usiskowi społecznemu lub nawet narodowemu, o który tutaj Lu-sünowi przede wszystkim chodzi. Nie zmienia to jednak faktu, że ta twórczość znalazła tak niespodziewane i odległe echo.

Zbieraczowi „sienkiewiczianów" przydadzą się może szczegóły bibliograficzne. Cytowany artykuł Lu-süna nosi w oryginale tytuł „Wo tsen-ma tsuo-k'i siao-szuo lai" i jest przedrukowany w książce Readings in Modern Chinese ed. by Chi-chen Wang, Columbia University Press, New York 1944; tłumaczony fragment znajduje się tamże na str. 133-134.

Janusz Chmielewski

FRASZKI

STANISŁAW JERZY LEC

* * *

Ten pisarz słowa hańbił na tyrana służbie.
A gdy wolność wybuchła, czy ma iść po prośbie?
Tłumaczy swoje dzieła w słodkiej naiwności
dziś z języka faszyzmu na język wolności.

O profilu poety

Jaki profil poety? Przeczytaj poema.
Usta słodkie, nos świetny ale czoła nie ma.

O fraszce

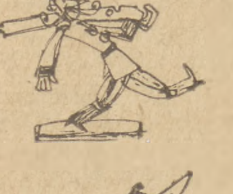
Jeśli kogoś fraszką raz ugodzę celnie —
to go wpół zabiję, wpół unieśmiertelnię.

JAN CZARNY



Powód

Czemu niepokój taki powiał
Na stary świat nasz ostatnio.
Czy jakiś nowy Ptolomeusz dowiódł,
Że ziemia jest kulą armatnią?



Patos

Czas w czynów stal uderzyć,
rzekł ołowiany żołnierzyk.



I ja też...

Murarz fundamenty wykuł
Woził cegły, wapno i piach
Postawił całą budowę
A gdy już wszystko było gotowe
Kogut frunął na dach:
Ku-k-ku-rykuuu!!!

rys. K. Baraniecki

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia" z prośbą o współpracę w dziale **„Camera obscura"**. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura" pod adresem: Redakcja „Odrodzenia", **Warszawa, Daszyńskiego 16**, dział „Camera obscura". Ustęp taki należy **wyraźnie oznaczyć**, najlepiej kolorowym ołówkiem. **Komentarze nie są potrzebne**. Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza **nagrodę w wysokości 1000 zł**, którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

Nagrodę zł. 2000 w ubiegłym tygodniu otrzymał ob. J. M. (adres znany redakcji) za wycinek z „Gazety Poznańskiej".

WALKA Z MOLAMI

Widocznie prowadzimy zbyt łagodną walkę z objawami grafomaństwa, obskurantyzmu, mętniactwa i niechlujstwa w prasie codziennej i periodycznej, skoro zamiast spodziewanego kurczenia się ilości nadsyłanych nam wycinków, otrzymujemy ich coraz więcej. Nie bez głębszych przyczyn jest zjawisko, że najbardziej ulubionym terenem żerowania grafomanów i mętniaków wszystkich miast, wojewódzkich i powiatowych, są działy kulturalno-literackie dzienników i czasopism.

Oto co pisze obywatel Mol. o sztuce Romana Brandstaettera „Przemysław II", której prapremiera odbyła się niedawno w Teatrze Polskim w Poznaniu:

Prapremier mieliśmy w Poznaniu po wojnie nie wiele. Ograniczanie się do powtarzania w naszych teatrach tego, co gdzieindziej już spotkało się z powodzeniem przeszło z czasem w nałóg. Decyzję wystawienia „Przemysława II" w Państw. Teatrze Polskim powitać więc należy z uznaniem.

Postępowaniem Przemysława — głównego bohatera sztuki — rządzi chęć zdobycia morza. Nad morzem poznał on swą pierwszą żonę Ludgardę i kierowany chęcią zdobycia go oraz za wszelką cenę zatrzymania w polskim posiadaniu — pozbywa się jej. W głosie sumienia, w krzykach mieszczan — we wszystkim słyszy szum morza. Chęć pokazania człowieka, który jako jeden z pierwszych dążył poważnie do uzyskania wielkiego dostępu do morza dla Polski — jest celowa.

„Przemysław II", należy do widowisk, po których dość trudno jest pisać o samej sztuce, gdyż teatr jest ich współautorem, a aktorzy i reżyser używają tekstu jako pewnego rodzaju kanwy. Nie znaczy to jednak, aby słowo miało w „Przemysławie" znaczenie drugorzędne. Wprost przeciwnie — w sztuce tej język (zresztą wspaniały!) odgrywa dużą rolę. Ładunek psychologiczny, emocjonalny i wreszcie historyczny rozsadza jednak do tego stopnia oszczędny tekst, że dopowiedzieć trzeba jeszcze wiele gestem i mimiką przy użyciu jednak najprostszych środków artystycznych.

Szkoda tylko, że nie znalazło się już miejsce na naświetlenie szerzącej się w XIII wieku kolonizacji niemieckiej.

Na dobrą, a raczej złą sprawę należałoby przedrukować całą „recenzję" obywatela Mola, z braku jednak miejsca ograniczymy się już tylko do uwag Mola o dekoracjach:

Dekoracje Jana Kosińskiego zyskały ogólny poklask. Zwłaszcza w akcie pierwszym i trzecim oprawa plastyczna jest kompozycyjnie bardzo ciekawa. W akcie drugim mamy na scenie może zbyt dużo światła, jeśli się weźmie pod uwagę, że to mroczne średniowiecze.

Prosimy uprzejmie redakcję „Gazety Poznańskiej", by zechciała poinformować swoich czytelników i nas, co zamierza uczynić celem wytępienia Moli, które zalęgły się na łamach tego pisma i składają raz po raz jajeczka w „Dziale kulturalnym"?

ZDJĄŁ MARYNARKĘ

Sprawie powieści odcinkowej poświęciliśmy już niemało atramentu i żółci. W rezultacie niewiele zmieniło się na lepsze. Mamy już wprawdzie w szufladzie plik listów z groźbami karalnymi od obywateli autorów, ale powieść odcinkowa, jaka była taka i jest. Owszem, w tytułach znajdziecie aluzje do proletariackiej Łodzi, do Ziem Zachodnich, do walki z alkoholizmem, a w tekście bez zmian... On zdejmuje marynarkę, by nie zdefasonować kroju klap, ona rozpina bluzeczkę. Jako kolejny przykład słuszności naszych uwag, posłuży nam dzisiaj „powieść" Jerzego Szeligi, drukowana w „Dzienniku Bałtyckim":

— Przesadzasz! — bąknął. — Nie jest tak źle, jak ci się wydaje. Nic mnie nie grozi...

Wiedziała, że może ma i rację. Ale ona była w innym położeniu....

Chcąc odgonić złe, pełne lęku myśli, które obudziły jego słowa wstała i szybko podeszła do niego. Ogarnęła go ramionami.

— Nie mów teraz o tym... — szepnęła — zapomnij...

Spojrzał na nią. Oczy miała lekko zwężone, przyzywające go obietnicą szczęścia...

Poczuł, że wargi ma suche, spieczone pragnieniem...

Wstał, zdjął marynarkę. Zawsze działała na niego w ten sposób. Gdy była przy nim, świat mógł nie istnieć. Znikało wszystko...

Jedna tylko, natrętna, uparta myśl ogarniała go szerokim płomieniem. Myśl o niej...

...Ewa wróciła po upływie kilkunastu minut. Przystanęła w sąsiednim pokoju i uśmiechnęła się słysząc, że jeszcze nie śpią. Potem zaczęła przygotowywać obiad. Przerywała pracę często, nasłuchując uważnie.

Zaśmiała się krótko i zapaliła gaz.

— Ładnego chłopaka sobie znalazła! — myślała z odcieniem zazdrości. — Nie taki, jak mój wujaszek...

Zastanowiła się nad czymś i dodała głośno:

— Ale coś mi się wydaje, że goły, jak święty turecki!

Po pewnym czasie, słysząc, że w pokoju zapanowała cisza, przypomniała sobie, że zostawiła tam papierosy. Zapukała dyskretnie. Nie mogąc doczekać się odpowiedzi, otworzyła drzwi.

Podeszła do stołu. Wydało jej się, że śpią. Kołdra leżała na podłodze...

Ewa przygryzła wargi. Siłą oderwała wzrok od łóżka, zawróciła i wybiegła, bo wydało się jej, że w pokoju jest bardzo duszno i gorąco...

Długo nie mogła wrócić do równowagi. Obiad oczywiście przesoliła.

Jest, jak widzicie, metoda w tym szaleństwie. Spostrzegamy nawet pewien rozwój. Jerzy Korwin zdejmował ze swoich bohaterów tylko marynarki i bluzeczki, Jerzy Szeliga odziera ich wreszcie z ostatniej kołdry. By zapobiec ukazaniu się powieści „proletariackiej" z kolonii nudystów, prosimy redakcję „Dziennika Bałtyckiego", by zaprzestała druku powieści nie wartych złamanego Szeliga.

TEATR — LITERATURA — MUZYKA

Mole lubią wszelkie tkaniny, podobnie jak grafomani — recenzje teatralne. Mole kochają wełny, podobnie jak grafomani — powieść odcinkową, ale nade wszystko uwielbiają mole delikatne futra, podobnie jak nade wszystko uwielbiają grafomani — temat muzyczny. Warto przeczytać, jakimi drogami dociera, na przykład, Zygmunt Jakimiak w „Słowie Powszechnym" do uzyskania poglądu na współczesną muzykę:

Prawda, są kompozytorzy o twórczości szpetnej, jest dużo muzyki złej, głupiej, podłej, ale to już jest konsekwencja istoty tej sztuki. Kompozytorowi powinno w duszy śpiewać z miłości wobec Boga i świata. Między świeckimi twórcami widzę tylko dwóch, którzy byli właśnie tak rozśpiewani: Mozarta i Haydna. Przedstawiają oni szczyty, nie mistrzostwa formy głównie, ale ludzkiego serca, dziecięco przyjaznego stosunku do świata. Obaj byli ludźmi biednymi, gorąco pobożnymi. Ale jeśli dzisiejszy kompozytor nie żyje z żoną, jeśli uprawia zdradę i dzieciobójstwo, a myśli tylko o swojej wielkości i sławie, to czy może mu w duszy śpiewać?

Czy można się dziwić, że mu w duszy skrzeczy, wyje, zgrzyta, skowyczy i że te właśnie odgłosy odtwarza w swojej twórczości? Nie, jaka miłość, taka i muzyka.

Czy niezbyt lekkomyślnie zarzuca ob. Jakimiak naszym muzykom cudzołóstwo i dzieciobójstwo? Czy nie powinienby jednak, wytaczając tak ciężkie oskarżenia, powołać się na bardziej sprawdzalne dowody niż jego, Jakimiaka, gust muzyczny? Zwłaszcza, że sam zarzuca nie tylko grafomanom, ale i pisarzom brak muzykalności, z wyjątkiem jednego Prusa:

Poza nim jednak nie widać u nas pisarzy muzykalnych. Niektórzy, jak Weyssenhoff i Iwaszkiewicz wykazują nawet kompletną ignorację w tej dziedzinie.

Przepraszam, a Jakimiak to co, drugi Prus? — Nasuwa się znany dowcip o domu wariatów: „— Tu wszyscy podają się za Bolesława Prusa, ale nie wierzcie im, bo ja nim jestem!"

PSUCIE KRWI

I na zakończenie trochę humoru z rubryki „Prawo i Życie", „Głosu — oczywiście — wielkopolskiego":

G. P. 16. 1) Alimenty ze stosunków nieślubnych przedawniają się po 1 roku. 2) Wniesienie powództwa o ustalenie ojcostwa nie jest ograniczone żadnym terminem. 3) Skoro Pani nie jest ojcem powoda radzimy skorzystać z dowodu próby krwi.

Wiadomo bez psucia krwi, że ta pani nie jest ojcem. Przysięgamy!

Redaktor Naczelny: JERZY BOREJSZA Adres redakcji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 16. tel. 80-664 i 40-160 wewn. 22 — Redakcja przyjmuje od g. 11 do 13. Adres administracji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 14, tel. 87-112
Drukarnia nr 2 „Czytelnik", Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna 80 zł, kwartalna 240 zł — Konto w PKO — I. 4739 B-67327 Wydawca Spółdzielnia Wydawniczo Oświatowa „Czytelnik"